

POLSKA ZACHODNIA

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

ROK II

POZNAŃ, DNIA 1-8 WRZEŚNIA 1946 R.

NR 35-36(57-58)

Składamy hołd niezłomnym obrońcom polskiego wybrzeża w wrześniu 1939 roku, reduty gdańskiej Westerplatte, Poczty Polskiej, Oksywia i Helu

Numer niniejszy zawiera m. in. następujące artykuły:

Aleksander Rogalski: Straty kultury polskiej
 Bohdan Danielewski: Kastet i melonik
 Eugeniusz Paukszta: Westerplatte
 Janusz Stępowski: Oksywie w ogniu walki
 Droga Krzyżowa Polaków-Gdańszczyzan

Józef Modrzejewski: Obrona wybrzeża w wrześniu 1939
 Wład. Jan Grabski: Łowy w Międzyrzeczu
 Aleksander Łykowski: Nasze prawo do Pomorza
 Leszek Goliński: Rozmowy z własną młodzieżą
 Tadeusz Jankowski: Bydgoszcz — ambitne miasto

1939 Ani litości ani pobłażania 1946

1. września 1939 r. o świecie wtargnęli współcześni Hunnowie na rozkaz Hitlera do Polski, siejąc mord i pożogę. Barbarzyński ten najazd, dokonany bez wypowiedzenia wojny, uplanowany został z całą premedytacją. Na odprawie generałów z początkiem maja 1939 Hitler rzucił z zimną krwią zapowiedź wszystkich gwałtów niemieckich: „Świat musi zdrześć z przerażenia”. Odtąd szukano już tylko pretekstu. W dniu 23 maja 1939 r. odbyła się w gabinecie krwawego wodza w kancelarii Rzeszy w Berlinie tajna konferencja, w której wzięli udział Goering, admirał Raeder, generałowie Brauchitsch, Keitel, Milch, Halder i Bodenschatz, pułkownicy Schniewindt, Jeschonnek, Warlimont, kpt. Schmundt, Engel, Albrecht i por. von Below. Protokulantem konferencji był adiutant osobisty Hitlera kpt. Schmundt.

jest historycznym dokumentem, że Niemcy były zdecydowane wywołać drugą wojnę światową.

a sprawa Gdańska była tylko pretekstem. Jednocześnie protokół wskazuje kierunek ekspansji wo-

jennej Niemiec: przestrzeń życia na wschodzie. W tej wyprawie rabunkowej na wschód, Hitler i

jego zbrodnicza klika mieli za sobą całą 70-milionową horde Niemców. Bez wypowiedzenia wojny, z całkowitym podeptaniem praw boskich i ludzkich Niemcy zasypali miasta, wsie i osiedla polskie deszczem bomb i granatów, aby mordować ludność cywilną, kobiety, dzieci i starców.

Ta potworna rzeź, która była początkiem masakry narodów w okresie 1939—1945, dokonana została w imieniu i za zgodą, entuzjastyczną zgodą całego bez reszty narodu niemieckiego. Polityka Niemiec zmierzała do całkowitego wytepienia narodu polskiego. Nie notowany w dziejach terror, rabunek, gwałt i mord rozszalał się na ziemiach polskich, znacząc stosami trupów i morzem krwi pochodz rozbestwionej dzicy hitlerowskiej. Od pierwszego dnia napadu padały ofiarą barbarzyństwa niemieckiego miasta i wsie, szkoły i fabryki, muzea i szpitale, kościoły i pomniki, teatry i ochronki. Przeszło 6 milionów Polaków straciliśmy na skutek tej wojny. Straszliwie okaleczona i skrwawiona Warszawa jest płomiennym symbolem naszego upustu krwi i naszych stratach narodowych. Za wszystkie bezeceństwa, potworności i okrucieństwa, za wszystkie zbrodnie wywołanej przez siebie wojny odpowiedzialność ponosi cały naród niemiecki. Dlatego nie może być dlań ani litości ani pobłażania.

Dzisiaj zaś, gdy jesteśmy świadkami regeneracji Niemiec, próbujących wygrać pokój bodaj jako gorliwi neofici demokratyczni, musimy ustokrotnie nasze wysiłki, aby na zawsze utrwalić powrót Polski na odzyskane dzierżawy praocjów nad Odrą, Nisą i Bałtykiem. W wieczystym sojuszu z całą Słowiańszczyzną zabezpieczymy granice nasze przed ponowną napaścią niemiecką.



Nigdy więcej nie dopuścimy, by barbarzyńska stopa krzyżackich napastników wtargnęła w granice naszej Ojczyzny, nigdy więcej nie dopuścimy, by plugawe znaki germańskie bezczęściły naszą świętą ziemię polską. Wraz z całą Słowiańszczyzną stworzymy niewzruszony i trwały wał dla obrony przed ponowną agresją niemieckiego rewanżu i odwetu. Czujność musimy zaostrzyć nie tylko wobec wroga zewnętrznego ale również wobec tych wszystkich „volksdeutschów”, których takie mnóstwo korzysta z dobrodziejstwa pobytu w Polsce. Spójrzcie na powyższe zdjęcie: tak oto pysznie i butnie wkraczali do Poznania w wrześniu 1939 żołdacy Hitlera, witani radośnie przez „volksdeutschów”, którzy w obliczu pierwszych upojnych zwycięstw niemieckich nie zawahali się zdradzić narodu polskiego, gospodarza tej ziemi, z którego mleka i miodu czerpali poprzednio pełnymi garściami,

Ten zaprotokółowany wyraz woli wodza narodu niemieckiego

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Angielski pisarz, Harald Nicolson wyrażał przed wojną obawę, że przyszła wojna może nie tylko pozbawić życia miliony istot ludzkich, lecz także — co uważał on za większe jeszcze nieszczęście — zniszczy najpiękniejsze dzieła geniuszu ludzkiego, że zatrafi się pamięć u późniejszych ludzkości o sonetach Shakespear'a i formułach matematycznych, na zawsze znikną utwory Bacha, czy cuda architektury średniowiecznej we Francji. Gdyż — jak wywodził pisarz — ludzie są do zastąpienia, a jedyne i niepowtarzalne owocowe myśli ludzkiej i ludzkiej tęsknoty za pięknem nic nie zdoła odtworzyć ani zastąpić.

Wojna 1939—1945 wykazała, że obawy Nicolsona nie były bezpodstawne. Nie tylko ginęły w ciągu niej masy ludzkie, czy nieledwie całe narodości, ale szła niszczenielski trawli również bezcenne twory cywilizacji, grożąc dotknięciem krajom zepchnięciem do poziomu barbarzyństwa. Jeżeli ta groźba niezupełnie się w ciągu przyobłąki dzięki zwycięstwu Sprzymierzonych, to przecież nic nie zdoła już wskrzesić obróconych w gruzy zabytków architektury, pomników chwały narodowej, źródeł wiecznych natchnień twórczych dla nowych pokoleń, dzieł malarstwa i rzeźby, starodawnych rękopisów, czy choćby nawet nowoczesnych bibliotek, które zmuszone i z wielkim nakładem środków materialnych społeczeństwa gromadziły w sobie wszystko, co zdobyła wiedza i cywilizacja powszechna.

Krajem, najbardziej dotkniętym przez wojnę minioną nie tylko stratami ludnościowymi, lecz także kulturalnymi, jest Polska. Zauważając przy tym należy, że, gdy inne narody swoje straty kulturalne w dużym stopniu mogą składać na karb tzw. nowoczesnej wojny z jej wszystkimi doskonałymi metodami niszczenia, to Polska przypisać jej musi wyłącznie tylko świadomej woli narodu niemieckiego, który uważał całkowite zniszczenie Polski jako narodu kulturalnego za jeden z głównych celów rozpetanej przez siebie wojny. Polska же miała do roli dostarczyciela siły roboczej dla państwa niemieckiego, Rzecz jasna — tylko do czasu, dopóki rozwój populacji niemieckiej i przeprowadzana bezwzględnie polityka anektowania pewnych krajów na zachodzie i na północy dla „nordycko-niemieckiej wspólnoty”, nie uczyniłyby zbędnym istnienia Polaków nawet w roli niewolników Niemiec. Nie było zamiarem Niemców zniszczenie komór gazowych w Buchenwaldach i Oświęcimiu po zwycięskim dla nich zakończeniu wojny. Miały one nadal pełnić funkcję głównego narzędzia niemieckiej polityki narodowościowej.

Szereg narodów w Europie dopiero podczas minionej wojny po raz pierwszy zetknął się bezpośrednio z destruktwnymi skłonnościami Niemiec. Ogarnęło je nie tylko przerażenie, ale i zdumienie. Trudno im było zrozumieć, jak mógł naród o niewątpliwych zasługach cywilizacyjnych i dużej dynamice twórczej popaść nagle w taką barbarzyńską dżokę.

Naród polski znajdował się w całkiem innym położeniu. On tego zdumienia nie doznawał. Wprawdzie „furore teutonice” nigdy takich rozmiarów nie przybrał względem Polski jak w tej wojnie, ale miała ona za sobą w tym względzie bardzo dawne i bogate doświadczenia. W jej oczach barbarzyństwo narodu niemieckiego z lat 1939 do 1945 było tylko uwieńczeniem i syntezą barbarzyństwa niemieckiego, którego ona doświadczała nieprzerwanie już od tysiąca bez mała

lat. Jest to moment, na który mało zwraca uwagę opinia społeczeństw zachodnich. A on przecież stanowi jeżeli nie jedyne, to w każdym razie główne źródło specyficznej sytuacji Polski na terenie międzynarodowo-cywilizacyjnym.

Tysiąc lat walki o kulturę Polski, tysiąc lat podstępne i jawne obniżanie potencjału twórczego Polski, tysiąc lat nieustanne niszczenia owoców jej wysiłków cywilizacyjnych! Co jedno pokolenie stworzy, to drugie oglądać musi w gruzach. Czy istnieje gdziekolwiek na świecie naród cywilizowany, który znajdowałby się w sytuacji tak doprawdy szczyfowej jak naród polski? Czyż istnieje gdziekolwiek naród o tak przerywanej tradycji kulturalnej, wciąż — nieledwie od początku, zmuszony budować na ruinach swą cywilizację narodową?

A cywilizacja ta stale zagrożona była w samych swych podstawach, bo w mowie ojczyznej. Niemcy w swym odwiecznym „Drang nach Osten” wciśkali się w macierzyste obszary polskie i tępił bezlitośnie język polski. Wyrafinowane narzemian i brutalne metody ich często uwieńczone bywały powodzeniem. Warstwy najbardziej produktywnie kulturalnie ztracały mowę ojczyzną, germanizowały się, by pomnażać później kulturę narodu wrogiego.

To miało miejsce szczególnie na staropolskich ziemiach na zachodzie, zagrabionych przed wiekami przez Niemców, a zwróconych Państwu Polskiemu na mocy uchwał poczdamskich. Ziemiaństwo i mieszczaństwo polskie uległo tam do szczętu germanizacji, zachował zaś polskość swą lud, nie wystawiony w takim stopniu na wynarodowienie, jako klasa, otoczona przez germanizatorów pogardą i pozostawiona przez długi czas swemu losowi. Lud ten zaś dzięki temu zachował oprócz swej obyczajowości i religijności swą polską mowę, w nieznacznym jeno stopniu skażoną germanizmami, i to w formie pradawnej, stanowiącą tym samym żywy zabytek kultury polskiej. Na ludzie też obecnie opiera się odbudowa kultury polskiej na odzyskanych zachodnich terenach.

Prócz języka pastwą niszczenielskich ataków niemieckiej zaborczości padała na wielu obszarach kultura religijna. Kościoły polskie bywały albo w gruzy obrócone, albo zamieniane na miejsce niemieckiej religijności, która w sposób sobie tylko właściwy umiała, zanim w XX wieku nie zastąpił jej narodowy socjalizm, godzić wzloty metafizyczne i uduchowienie z najbrutalniejszym pogwałceniem przykazań boskich i ludzkich.

Znikały potężne ogniska kultury polskiej: Wrocław, Opole, Szczecin, Gdańsk.

Gdy przyszły zabory, dawały Niemcy produktywność kulturalną takich centrów nawet jak Kraków, Warszawa, Poznań, Toruń. XIX wiek obdarzył inne narody wszystkimi dobrodziejstwami niezwykle rozkwitu cywilizacji we wszystkich dziedzinach. Tylko Polska, trzymana w okowach niewoli, była ich bodaj doszczętnie pozbawiona. Jeżeli pozostał gdzieś jakiś uniwersytet polski, prowadził żywot wegetacyjny, nie dopuszczając do płodnych kontaktów z zagraniczną nauką, i nie rozporządzał niezbędnymi środkami i narzędziami pracy. Uczni polscy najlepsze siły marnowali na walkę z ciężkimi warunkami materialnymi i politycznymi, lub tułali się na obczyźnie, stałych pracowni pozbawieni. Kataklizmy, które spadały jedne po drugich na naród polski, unicestwiały często nawet to, co niespożyte, energia i heroizm jego warstw czołowych nawet w tak surowych warunkach wytworzyć zdołały.

Najgorsze ciosy zadali Niemcy kulturze polskiej w ostatniej wojnie. Główne jej ognisko — Warszawa — obrócone zostało zupełnie w perzynę. Żaden uniwersytet, co więcej — żadne gimnazjum nie było czynne. Uczonych, nauczycieli, pisarzy, dziennikarzy pochłonęły obozy koncentracyjne i komory ga-

zowe. Od roku prowadzi się rejestr strat osobowych kultury polskiej. Trwa on dotąd jeszcze, jest nie do wyczerpania! Mnóstwo drogocennych dzieł naukowych i literackich strawił ogień, podłożony ręką niemieckiego „kulturtraegera”.

Dla zilustrowania sytuacji przeciętnej polskiej uczonego w czasie wojny wystarczy poniższe urywki wyznań, pomieszczone we wstępie do dzieła, jakie ukazało się po wojnie.

Rok 1942: „Jesteśmy w czwartym roku wojny. Musimy patrzeć, jak niszczy się polską książkę i nasze księgozbiory. Nieliczne biblioteki, nietknięte jeszcze pogromem, stoją z okaleczonymi fasadami i zniekształconą organizacją wewnętrzną, niedostępne dla polskiego czytelnika. Pracownicy biblioteczni, pozbawieni swych warsztatów, w rozproszeniu.”

Rok 1945: „Wśród zawieruchy wojennej przypadły moje najcenniejsze książki wraz z wypisami i notatkami, gromadzonymi przez z górą lat 25, nie miałem więc pod ręką potrzebnej literatury. Stosunki okupacyjne wyczerpywały nerwy...”

Samo wykończenie książki wypadło mi na okres najcięższy, gdy podczas powstania warszawskiego tkwił mi na posterunku w Bibliotece Narodowej. W zgłętku walk, w sąsiedztwie koszarów SS, ustawiczne utarczki z żołnierzami niemieckimi, gwałtami, grabieżą i spalaniem biblioteki, ciąga traska o zbiory biblioteczne, jak w ogóle tragiczne losy Warszawy i powstania — nie mogły doprawdy sprzyjać pracy umysłowej. Nie zdołały jej jednak przerwać: 19 września 1944 r. rękopis był gotów. Udało mi się go uratować i zabrać z sobą do obozu w Pruszkowie, po czym towarzyszył mi w różnych przymusowych wędrówkach, aż szczęśliwie znalazł nakładcę...”

Gdzież, w jakim kraju uczeni przechodzili podobne dzieje i koleje? A taki był los wszystkich dziedzin twórczości polskiej i to od wieków. Bez przesady bowiem można powiedzieć, że poza nielicznymi i krótkimi okresami, stanowiącymi prawdziwe oazy na pustyń, kultura polska zmuszona walczyć nieustannie o swój byt, nie posiadała od swych początków aż do dni obecnych warunków, umożliwiających jej normalny rozwój. — Jeżeli zaś mimo to zdołała ona wydać takiego Kopernika, Mickiewicza, czy Curie-Skłodowską, to należy w tym widzieć owoc niebywałego heroizmu. Osiągnięcia kultury polskiej, znane przeciętnemu ogółowi kulturalnemu za granicą, nie dają jednak pełnego wyobrażenia o wszystkich jej możliwościach twórczych. Ogromny zasób sił i energii duchowej narodu szedł zawsze na marne na skutek odwiecznych niszczenielskich ataków niemieckich. Po 10 wiekach krwawego i okrutnego marnotrawstwa sił narodu polskiego czas uławić mu zdrowy i normalny rozwój. Czas udostępnić mu te warunki, w jakich rozwijały się inne narody cywilizowane. Pełną gwarancję pokoju i trwałej likwidacji niebezpieczeństwa niemieckiego przynieść Polsce mogą tylko granice, ustalone na konferencji w Poczdamie: Odra i Nisa Łużycka.

Kultura polska, odzyskawszy swoje pierwotne ogniska i należyte zabezpieczenie swojego istnienia, będzie mogła nie tylko pracować nad nadrobieniem choćby ułamkowym tych ogromnych braków, strat i zaniedbań, które spowodowało jej nieszczęśliwe sąsiedztwo z potężnymi Niemcami, ale stanie się również w pełni twórczym elementem cywilizacji ogólnoludzkiej.

Aleksander Rogalski

Osiedleńcza moc ludu polskiego

Wywiad z ks. dr K. Milikim, Administratorem Apostolskim Dolnego Śląska

Po zwycięstwie pierwszych trudności w zaludnieniu i zagospodarowaniu Dolnego Śląska — z całą jasnością występuje problematyka społeczna, sprawa kształtowania się nowego społeczeństwa. Zarówno sfery urzędowe, jak i uświadomione o znaczeniu Ziemi Odzyskanych społeczeństwo, z największą uwagą śledzą postępy przystosowania się osadników do nowych warunków, zmiany w ich postawie psychicznej, procesy wiązania się ich w organizm społeczny.

Dolnośląski Oddział Z. A. P. przeprowadza szereg wywiadów z kierownikami różnych instytucji, około których krystalizuje się życie społeczne Dolnego Śląska. Będziemy się przy tym starali dać naświetlenie tych problemów z różnych punktów widzenia, aby uzyskać obiektywny obraz.

W krystalizowaniu się nowego życia społecznego na Ziemiach Odzyskanych ważną rolę odgrywa Kościół Katolicki.

„Nie wolno zapominać — mówi m. in. Administrator Apostolski ks. dr Milik, — że żywą więzią łączącą Polaków, jest ich dusza na wskroś chrześcijańska. To też nie dziw, że i osiedleńcza moc ludu polskiego na Dol-

nym Śląsku płynie z religijnego źródła przywiązania do Kościoła. Kościoły są pomostem łączącym polską przeszłość tej ziemi z jej polską teraźniejszością. Jakże umacniająco działa na duszę nabożeństwo np. w świątyni w Żeganiu, która wzniesiona została w XII w. przez Bolesława Wysokiego, a dziś z ruin na nowo przez Polaków dzwignięta, — nabożeństwo przy ołtarzu głównym, za którym spoczywa Henryk IV — Piast! A podobnie jest i w innych miejscowościach. We Wrocławiu wita nas bł. Czesław, w Trzebnicy, zrosnięta z Narodem Polskim matka Henryka Pobożnego — św. Jadwiga.

We Warcie (Byrdo) gromadzi się ludność około cudownej figury Matki Bożej, która pamięta pielgrzymki polskich pątników z XII w.

Odrodzenie katolicyzmu na gruzach hitleryzmu uważa nasza ludność za swoje posłannictwo na tej śląskiej ziemi. Nie pojmuje swego przyjścia tu li tylko materialistycznie, jako zagarnięcie kęsa ziemi — ale jako misję budowania Chrystusowego Królestwa prawdy, prawa, wolności i świętości — tu, gdzie gwałt i przemoc „rasowej” pięści chodzą w tożdej zaśluzi.

To też ludność dopiero wtedy wiąże się z ziemią przez pracę na stałe, gdy jest z nią książd i gdy w świątyni

może się rozmodlić w pacierzu i rozśpiewać w nabożnej pieśni.

Blaganie o kapłana jest rzeczą H-tanią powtarzaną codziennie przez delegacje przychodzące do Administracji Apostolskiej z różnych stron Dolnego Śląska.

Dusza polska objawia dziwną, rozumowo niewytłumaczoną tęsknotę za posiłkiem nadprzyrodzonym, łask Bożych. Jakby podświadomie odczuwała, że w swym powrocie dziejowym przysłała tu spełnić rolę, przyrastającą normalne siły człowieka. — Świątynie dziś pełne, kapłanów coraz więcej. Było ich przed rokiem zaledwie 50, dziś — 370. Liczba jednak duchownych w stosunku do przeszło milionowej rzeszy katolików jest niewystarczająca.

Brak wydziału teologicznego przy Uniwersytecie Wrocławskim — osłabia dynamizm życia polskiego na Dolnym Śląsku. Sprawa ta jest niesłychanie ważna i pilna. Duszpasterze tych ziem powinni kształcić się i wychowywać w atmosferze problematyki dolnośląskiej, którą tak ożywiony jest nasz Uniwersytet. Dotychczasowe obietnice, że wydział ten zostanie powołany wnet do życia — nie zostały urzeczywistnione.

Na zakończenie Administrator Apostolski zwraca uwagę na następujące zarządzenie Diecezji Dolnośląskiej, opublikowane w „Wiadomościach Kościelnych”:

„Na Dolnym Śląsku mieszka obecnie ludność z najróżniejszych dzielnic, przyzwyczajona do różnych obyczajów i zwyczajów diecezjalnych i regionalnych. Z tej różnorodności trzeba stworzyć harmonijną mozaikę, która igrząc wielorakością kolorytu, przedstawia jednak jeden obraz społeczności żyjącej na podobieństwo Boże. W tym kierunku wytyczymy wszystkie nasze siły naturalne w duszpasterstwie, ale to nie wystarczy, więc sięgnijmy po moce nadprzyrodzone przez modlitwę, bo tylko miłość może związać dusze w Chrystusowe „unum ovile”. Tylko ta fundamentalna chrześcijańska cnota może wyprowadzić z ciasnoty skłócone o małe rzeczy jednostki”.

**Jeśli nie chcesz
aby za lat 20**

NIEMIEC PLUŁ NAM W TWARZ

zapisz się jeszcze dziś
na członka

POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO

Polski Związek Zachodni

walczy z niebezpieczeństwem niemieckim



Z krajobrazu niemieckiego zniknęły panzerfausty i helmy stalowe Wehrmachtu. Nie ma czarnych mundurów SS, nie ma brązowych SA. Militarne państwo Hitlera runęło w przepaść.

Nikczemna napaść na Polskę 1. września 1939 skończyła się klęską i hańbą 9 maja 1945 roku w Karlsruhe. Pożegnanie z bronią było dla Niemców bolesnym ciosem, rozstanie się z mundurem tragedią narodową. Wytreasoni w pruskim drillu i hitlerowskim staniu na baczność, od kolebki do trumny wśluchani w marsze, zawsze gotowi na każde wezwanie do apelu, do musztry, do koszar — Niemcy ze wstrętem wzięli w cywilne ubranie. Helm stalowy ze swastyką i szeroko rozpostartym orłem Trzeciej Rzeszy trzeba było zamienić na stary, splamiony, wyświechtany melonik. Herrgott, to było straszne. Niemiec poczuł się w tym, jak diabeł w święconej wodzie.

Przemiana militarysty niemieckiego w cywilnego obywatela nie jest dobrowolna. Została ona narzucona w konsekwencji militarnej klęski i jest politycznym skutkiem obecności władz i wojsk okupacyjnych w Niemczech. Cywilne ubranie nie leży na Niemcu, w meloniku nie jest mu do twarzy. Zatraca w tym wyraz, oblicze i charakter. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Przy bliższej obserwacji nie trudno poznać wilka w owczej skórze. W rozmowie: przybiera postawę służbową. Na ulicy: „przez zapomnienie” nie sięga do melonika, lecz wyciąga rękę „w niemieckim pozdrowieniu”. W kawiarni: siedzi sztywno i równo. W teatrze i w kinie: śmieje się głośno, koszarowym śmiechem. W urzędzie: jest służbiwą wobec każdej władzy.

W Trzeciej Rzeszy był „dla dobra państwa” wiernym hitlerowcem, dzisiaj „dla dobra odbudowy Niemiec” jest tzw. demokratą. Bo tak trzeba, takie są czasy. Nie z wewnętrzznego nakazu, nie z refleksji i nie z poczucia winy.

W studium na temat charakteru narodu niemieckiego pisze w jednym z czasopism Otto Flake takie oto rozważania: „Serwilizm, wynikiły z dyscypliny pruskiej istniał już w XVII i XVIII stuleciu, w atmosferze baroku i rokoka, powstałej po wojnie 30-letniej. W okresie książęcych rezydencji rozpanoszyło się lokajstwo wobec każdej zwierzchności. Miasteczka, które tchną takim romantyzmem i poufałością, były z punktu widzenia socjalnego prawdziwymi wylęgarniami ciasnego, pozbawionego polotu, niewolniczego, służalczego myślenia. Na każdym kroku spotykamy w Niemczech służalstwo, stęchłizna serwilizmu wieje zewsząd. Po r. 1870 Niemiec otrzymał nagle Rzeszę.

Służalstwo, połączone z dumą i zarozumiałością, zrodziło butę i pychę. Rozum polityczny Niemca był tak mało rozwinięty, że istnienie opozycji uważał za zbrodnie przeciwpaństwowe. W erze wilhelmowskiej Niemiec, dbały o swoją karierę, omijał demokrację, socjalistę jak zarazę. Kac i zbrodniarze hitlerowscy, którzy w nieprzeliczonej ilości postawili swoje osoby do dyspozycji narodowego socjalizmu, do najpodlejszych i najkrwawszych usług, zrodzili się z tego fatalnego zetknięcia się małomiasteczkowego serwilizmu z brutalnością soldaty, lokajskiej służbiwości z pychą nacjonalistycznego karierowiczostwa.

Autor kończy uwagę: „Dzisiaj już nic, co jest z ducha niemieckiego, nie jest niezrozumiałym, ponieważ wszystko już się stało a historię

chemii wewnętrznej można napisać, gdy się zna wszystkie elementy”.

Tak pisze Niemiec o Niemcach. Dla nas chemia wewnętrzna tego narodu nie jest księgą o siedmiu pieczęciach. Na przestrzeni sześciu bez mała lat, od 1 września 1939, współczesne nasze pokolenie poznało ją dogłębnie. I na własnej skórze. Od Oświęcimia przez Majdanek, Treblinkę, Warszawę do

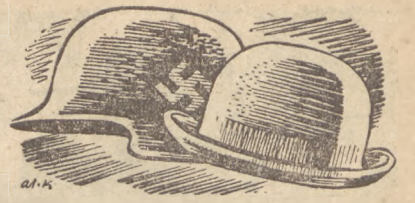
Tłum niemiecki wczoraj i dziś

Te same tłumy, co wczoraj jeszcze wyciągały rękę „w niemieckim pozdrowieniu”, krząc w obłędzie masowym na cześć swego „Führera” — dzisiaj biorą udział w masówkach, urządzanych przez nowe stronnictwa, które chcą naród niemiecki wychować w duchu demokratycznym...

Na zdjęciu górnym powitanie „Führera” w Norymberdze w r. 1939. Zdjęcie dolne przedstawia „manifestację demokratyczną” w zakładach AEG w Berlinie w r. 1946.

Luksemburskiego w Paryżu — atakuje granice wschodnie i zachodnie. W czasopiśmie „Wege in die Neue Zeit”, wydawnictwie CD Union, Kaiser powiada w artykule „Europa und Deutschland”: „Ponad wszystkim góruje dziś troska o narodową i państwową jedność Niemiec. Napełnia nas przy tym satysfakcja, że mocarstwa zwycięskie zapewniły, iż żadna aneksja niemieckiego te-

„Mein Liebchen, was willst du noch mehr?” (kochaneczko, czego jeszcze więcej pragniesz). Dr. Schumacher socjalista i znakomity demokrat, wódz polityczny Niemiec zachodnich oświadczył wręcz: „W naszych szeregach jest miejsce dla każdego Niemca bez względu na jego przeszłość polityczną”. Gesamtdeutschland — oto jego ideał politycznej odbudowy Niemiec. Gesamtdeut-



ma w duszy i co nareszcie można znowu głośno wypowiedzieć. Bezczelna ta demonstracja potępiona została tylko przez jedno pismo, mianowicie „Die Weltbühne”, które redaguje Marta von Ossietzky, wdowa po znanym działaczu prawdziwie demokratycznym Carl Ossietzky. „Przez wasz aplauz udowodniłście, Niemcy — pisze „Weltbühne” — że Alianci nie są tutaj bynajmniej bez powodu, i że wcale nie posunęli się za daleko. Gdybyście odpowiedzieli na ten nietaktowny dowcip wygwizdaniem, godzina odejścia Aliantów stąd nie byłaby wcale tak odległą”. Głos rozsądku i umiaru tego pisma jest głosem wołającego na puszczy. W kabarecie „Roxy” na Kurfürstendamm przez kilka tygodni szedł przy nabitej do ostatniego miejsca program ze szlagierem „Pani Walewska i Napoleon”, którego pointa iście berlińska streszczała się w „dowcipie”, że nawet uroda hrabiny Walewskiej i jej sztuczki miłosne nie uratowały Polski od zguby. Niemcy klepalili się z uciechy po kolanach. To było kolossal!

Na rogatkami Berlina sunie zszona asfaltową samochód z oficerami jednego z mocarstw okupacyjnych. Nagle z węgla przyczajona grupa młodzieży niemieckiej obrzuca samochód gradem kamieni. Kilku łobuziaków ujęto, reszta rozpieczęta się. Podczas rewizji znaleziono u tych młodzieniaszków kastety i palki gumowe, zakończone ołowianą kulą. Przed sądem oświadczyli z arogancką miną, że dali w ten sposób upust swej „niechęci” do okupantów. W prasie berlińskiej panowie w melonikach stanęli w obronie tych „nieszczęśliwych młodzieńców, wykolejonych przez wojnę”. Nie trzeba ich karać — wołano — trzeba ich wychować w duchu demokratycznym.

Tymczasem po Niemczech włóczą się całe bandy tych kastetowców, nie mogąc doczekać się chwili, gdy znowu dostaną do łapy dynamit, panzerfausty i granaty. A demokraci niemieccy, zrodzeni ze stosu akt kapitulacyjnych w Poczdamie wskazują im już drogę: Ren i Odra, granice, które trzeba rozbić.

Wychodząc w Hamburgu czasopismo „Nordwestdeutsche Hefte” w nr. 3 zamieściło artykuł Petera von Zahna pt. 1949. Autor maluje wizję nadchodzącego Niemiec. Prawdopodobnie — pisze Zahn — będziemy mieli wtedy już rząd niemiecki. Rząd ten będzie przedmiotem nieustannych ataków ze strony społeczeństwa, ponieważ podpisał traktat pokojowy a to mu będzie poczytane za największą zbrodnię nie do przebaczenia przez olbrzymią większość narodu. W r. 1948 rada profesorów wyższych uczelni rozpocznie akcję propagandową celem ponownego wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej. Grupy radykalne, prowadzone przez zdeklasowanych oficerów i zawodowych rewolucjonistów zorganizują falę aktów sabotażowych, które zmuszą władzę okupacyjną do ponownego wprowadzenia... godziny policyjnej”. Ironia autora odnośnie godziny policyjnej ma niestety gorzki posmak prawdy.

Czas już wielki wprowadzić godzinę policyjną dla całego narodu niemieckiego i zaostrzyć rozluźniającą się kontrolę nad demokracją niemiecką, żeby narody miłujące pokój, nie padły znowu któregoś dnia o świcie ofiarą napaści zawsze tych samych Niemców. Za melonikiem rysuje się cień helmu stalowego, za kastetem cień krzyżackiej pięści.

Bohdan Daniłowski.



Ravensbrück najnikczemniejsze zbrodnie popełniane były „na rozkaz”, służbiście, dla dobra Wielkiej Rzeszy.

Helmy stalowe legły w rowach przydrożnych, porzucone przez dzielnych żołnierzy „Führera”. Cóż tedy było zrobić?

Zwycięzcy obiecywali utrzymać Niemcy pod warunkiem, że się demokratyzują. Sięgnęli więc Niemcy po zawieszony na kółkach, zakurzone meloniki. Demokraci i Gott mit uns. Tylko ta droga wiedzie ku „lepszemu, jaśniejszemu przyszłości”.

Gdy byłem w Berlinie, wszcząłem na ten temat rozmowę z jednym z dziennikarzy niemieckich. — Niech Pan mi wierzy — były jego słowa — żaden Niemiec nie wie, jak to będzie z tą demokracją. My nie umiemy sobie tego nawet wyobrazić, ale obecnie naszym ocaleeniem narodowym jest demokracja.

Demokratą w rozumieniu niemieckim jest Jakob Kaiser, przywódca chrześc.-demokratyzm. unii (CDU), w wschodn. Niemczech jest także dr Schumacher, przywódca socjaldemokracji niemieckiej (SPD) w zachodnich Niemczech. Panowie ci do niedawna jeszcze kłaniali się władzom okupacyjnym na lewo i na prawo, wymachując z zakłopotaniem demokratycznym melonikiem. Dzisiaj sięgają po kastet, wyrzucając nim na wschód i na zachód. Rezerwa i umiar ustąpiły miejsca arogancji i beczelności. Do tej pory przywódcy poczdamskiej demokracji wyżywiali się w dyskusjach i sporach wewnętrzno-politycznych, ustrojowych, w rozgrywkach międzypartyjnych, taktycznych. Obecnie strategia niemiecka — z wyraznym zezem w kierunku Pałacu

renu nie wchodzi w ogóle w rachubę. Droga do prawdziwej i rzeczywistej jedności Niemiec może być znaleziona tylko w tym wypadku, jeśli naród niemiecki otrzyma jak najprędzej rząd centralny. Niemieckiej jedności trzeba dać przestrzeń”.

Jedność — pokój bez aneksji — przestrzeń. Oto wyznaczenie wiary politycznej współczesnej demokracji niemieckiej. Z melonikiem w rękę i z kastetem. Straszy się więc narody, gotowe zawrzeć pokój za wszelką cenę, że po i wskutek Wersalu przyszedł Hitler.

„Berliner Heft”, miesięcznik wydawany przez Wolfganga Goetza, przypomina w artykule „Staat, Volk und Hitlerismus”: „Ze po pierwszej wojnie światowej rasizm i jego symbol mogły stać się w Niemczech tak popularne, tłumaczy się bardzo szczególną sytuacją, w jakiej się wówczas znalazł naród niemiecki. Upadek z najwyższej wysokości na dno uraził zbyt gorko jego narodową dumę. Apel do instynktów nienawiści znajdzie zawsze łatwy oddźwięk wśród mas podnieconych i pogrążonych w nędzy.” To znaczy po prostu: ostrożnie i łagodnie z nami, bo za bestię drze miącą w nas, nie odpowiadamy! Masz niemieckie, pozbawicne koszar mundurów, parademarszów, fanfar Goebbelsa oraz głosu „Führera”, szukają anszłusu do nowej rzeczywistości. Demokracja niemiecka nie jest ekskluzywna i podobnie, jak hitlerizm przygarnia masę do swego łona. W miejscowości Bad Bansin na alizsu, wzywającym na zebranie partii socjalistycznej „zaprasza się jak najszybciej sympatyzujących z nami członków b.NSDAP”. Można powiedzieć za poetą niemieckim:

schland — pojęcie wzięte żywcem z katechizmu politycznego hitlerysty „Mein Kampf”. Niedawno Schumacher jeździł po Nadrenii i Westfalii i gadał a tłumy słuchały. Mówiąc o granicach Niemiec, przywódca socjaldemokratów wykrzykiwał, że partia jego nie uznaje nowych granic. Socjaldemokraci będą walczyli o każdy metr kwadratowy ziemi na wschód od Odry! Powie ktoś: przywódcy partii niemu są tak gadać, żeby nie stracić popularności wśród mas, które za wszelką cenę trzeba zdobyć dla demokracji. Ale masy, ale naród niemiecki niema z tym nic wspólnego. Posłuchajmy zatem szmeru zachwytu olśnionych i zachłyśniętych widzów.

Dnia 22 czerwca 1946 — akurat w rocznicę napadu hitlerowskiego na Rosję — odbyło się w Berlinie otwarcie nowego kabaretu artystycznego. Na premierze największym powodzeniem cieszył się — i odtąd teatr jest codziennie wyprzedany — skecz, przedstawiający Niemcy jako królową śnieżkę, którą z tysiącletniego snu budzą pocałunkiem kolejno Ameryka, Anglia i Rosja Sowiecka. Królewna ocknęła się i wyklóca się z każdym „księciem”. Francuzowi nie chcą oddać Zagłębia Ruhry, z Anglikiem chce mieć Cocktail-Party, ale broń Boże Labour-Party, wobec Amerykanina broni się przed zarzutem, że była oddana Hitlerowi, a do Rosjanina mówi bez ogródek: „Mój panie, pan posuwa się stanowczo za daleko. Odra, Szprewa, Hawela i Łaba — to za daleko. Niech pan cofnie rękę”. Publiczność nie posiada się z entuzjazmu. Burzliwe oklaski trwają parę minut. Demokratyczni Niemcy szaleją. To jest coś, co każdy z nich



Właściwie to było już pewne. Pewne od chwili, gdy „Schleswig-Holstein” przypłynął z wizytą do Gdańska. Niebo polityczne zbyt było zaciemnione, by mogło się obyć bez burzy. A potem wstrzymanie przez Niemców wagonu amunicyjnego z Gdyni do Westerplatte — pozbaawiło zrabków ufady ostatnich optymistów.

Nie ludzila się więc i załoga Westerplatte. Nie było złudzeń w Radzie Portu z powiewającą nad nią „komische Flagge” — jak Niemcy ją określali — flagą z orłem u drzewca i herbem gdańskim. Wbrew naiwnym telefonom Warszawy nie ludzono się w Komisariacie Generalnym R. P. w Gdańsku.

Naigorsze były chwile wyczekiwania. Ta niekończąca się czujność. Napięcie uwagi na każdy szmer czy szelest, na każdy gwar mocniejszy. W napięciu spogląda przed siebie żołnierz z każdej z pięciu wartowni i z dwu placówek na przedpolu — „Promu” i „Przystani”. Na „Promie” tak jeszcze pachniało przyjemnie kąpiącą żywicą ze ściętych niedawno drzew lasu, okalającego Westerplatte. Nocą był las stuletni ścinany dla lepszych możliwości obstrzału, nocą umacniano grubym bierwionem placówkę. Niech no by oko bowiem szpicla dojrzało — zaraz podniósłby się krzyk i hałas dyplomatyczny. To tylko Niemcom wolno było zwozić wciąż nowych i nowych „turystów”, wyładowywać broń w stoczni Schichau i szkolić dywizję SS-Danziger Heimwehr...

Wzmocniono załogę Westerplatte przez mobilizację pracowników cywilnych. Łącznie 171 ludzi. Cóż to znaczy wobec licznych oddziałów Hilfspolizei, Heimwehry, wojska regularnego, samolotów „sportowych” i artylerii. A nad tym wszystkim cień pancernika „Schleswig” o paręset metrów od czerwonych murów Westerplatte.

Duszna i ciężka była atmosfera wyczekiwania w ostatnią noc krytyczną. Zachodziło słońce jakąś nienaturalną czerwienią koloru krwi. Z oddali późno w noc niosło się głuche a uragliwe krakanie wron. Morze tylko było jakieś spokojne. Ale w spokoju tym grozy więcej było niż ukojenia...

Znad murów Gdańska niosły się głuche poszumy. Od kilku dni niosła plotka wieści o starciach granicznych, o wstrzymaniu ruchu kolei, o koncentracji oddziałów niemieckich. Z dudnieniem i łoskotem przeciągała ulicami miasta zmotoryzowana artyleria.

Aż przyszedł i rozkaz. — Bronić się posiadankami środkami przez dwanaście godzin do czasu nadejścia drogą morską z Gdyni wzmocnienia załogi. Czy do osiągnięcia zadanie? Proporcja sił była aż śmieszna.

Z zacięciem i determinacją spoglądał żołnierz Westerplatte w nadchodzące jutro. Mało kto nocy tej spał — a i to był sen niespokojny jakiś i gorączkowy, pełen złud i majaczeń. Nic nie nastraja gorzej niż wyczekiwanie! Niż świadomość, że to, czego się człowiek spodziewa, nadejść musi, a tylko nie wiadomo kiedy, gdzie i skąd.

Niektórzy pisali listy, w małej jednak nadziei czy dojdą. Inni szepotali z cicha słowa modlitwy. Każdy wracał myślą do rodzin pozostawionych, do żon i dzieci. Do matek starych, wiekiem przygiętych do ziemi. Niejeden z młodych westchnieniem przyzywał obraz swojej dziewczyny, słał jej w przestrzeń słowa miłości i nadziei...

Nad lasem Westerplatte zaróżowił świt. Z ulgą powitał go żołnierz na warcie. I wtedy przyszło wyczucie, że już dojrzało, że kończy się oczekiwanie, że coś się ma dziać.

— Więc dziej się, w imię Boga!

Oстрым trzaskiem przeszedł powietrze strzał pistoletowy. Zaczęło się!!! Była godzina czwarta, minut 45.

Jeszcze niosło się echo strzału, gdy nowy, tym razem stokroć bardziej potężny huk targnął powietrzem. Od strony bramy kolejowej wionęło kurzem, odłamkami drzewa i cegiel. Celny zaiste był pierwszy strzał

gościa gdańskiego „Schleswig Holsteina”: zniknęła gdzieś brama i kawał muru. Zaroilo się od razu w powstałej wyrwie. Sypnęły przez otwór dziesiątki postaci, przygiętych do biegu, z góry zwycięskich, zdobywczyni. Na wysięg walczą czołówki gdańskiej SS z kompanią szturmową marynarzy...

Rozśpiewały się im na powitanie tego pięknego, wrześniowego ranka polskie k-emy i kbka. Pała się żołnierzowi ręce z ochoty. Seria za serią sieka w miejsce, gdzie jeszcze przed minutą niespełna stała brama, a gdzie kłębi się szukający już rozpadlin i załamania następujący wróg.

A maszynki śpiewają... Tak, śpiewem się zdaje ich szczenie uszum polskiego żołnierza.

Od pyłu, kurzu szaro się robi w powietrzu. Huk wszelkich tonacji drga nieprzerwaną falą.

„Schleswig Holstein”, manewrujący wzdłuż kanału portowego, grzmi teraz ze swych 280-ek w stronę placówki... Z trzaskiem rozsypują się od celnych strzałów z takim trudem robione nocami drzewne umocnienia.

Skądś zaszczekały maszynki. Ach, to spichrz „Anker”! Z górnych wylotów spichrza zbożowego siecze ogień niemieckich ck-emów.

Ktoś woła:

— Te ścierwa stamtąd wała do nas!

Ktoś inny:

— Schupo w ataku!

Od strony wartowni Schutzpolizei gdańskiej biegną postacie...

Pada rozkaz.

Znowu ktoś woła:

— Niemcy od Szkolnej!



Rysunek według karykatury „Ziemia gromadzi prochy” J. Kisielewskiego

Ulicą posuwa się kompania piechoty. Kierunek — na kanał portowy.

Jeszcze nie przebrzmiało, zda się, echo pierwszego rozkazu, a już patrol walczy z nacierającymi Schupo. Trudno się rozeznąć w kotłowisku dymu, hałasu, pyłu i krzyku, jaki powstaje.

Ale oto dym opada. Patrol chyłkiem wycofuje się pod osłoną placówki. Schupo odparci. Wartownia niemiecka zniszczona. Na przedpolu trupy niemieckie. Jakiś ranny czegoś rękę wznosi ku górze. Rozczapierzone palce kurczowo coś łapia w powietrzu. Ręka opada...

— Kasza, jak Boga kocham, kasza! — z szalącą radością znowu ktoś wrzeszczy w placówce.

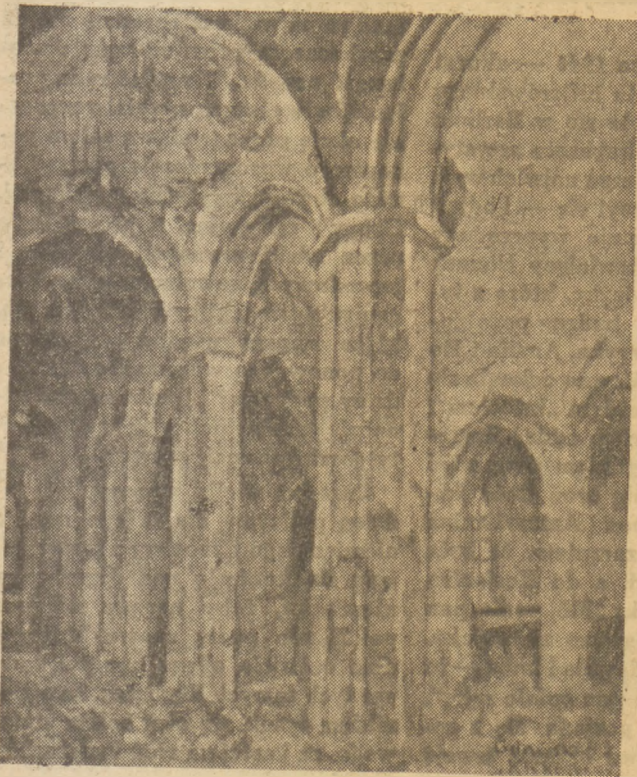
Rzeczywiście. Masakrą skończył się wypad piechoty niemieckiej wąską uliczką Szkolną. Niedobitki kryją się po bramach, wsiakają w załamania muru.

Gdzieś z tyłu, od koszar, zagrały polskie moździerz. To wsparcie placówki „Prom” przyczynia się do wycofania Niemców z rejonu Westerplatte.

Wytoczone wcześniej jeszcze jedyne działko polowe 75 mm niszczy parę stanowisk maszynek niemieckich na spichrzu.

Strzały karabinowe cichną na chwilę. Tym mocniej dudni kanonada z „Schleswiga”. Pociski padają na koszarę. Z dwu działek pancernych polskie strzały dosięgają pancernik. Bez skutku. Za słaby kaliber działek — za mocna skorupa pancerna okrętu...

Nowe serie wała od strony Nowego Portu. Ach, to ze zbc ru ewangelickiego. Wysokie wieże górują nad Westerplatte. Ma wróg dobre pole obstrzału.



Wnętrze kościoła św. Katarzyny w Gdańsku po zombardowaniu w r. 1945. — mal. Ignacy Klukowski Gdańsk.



Kompania Westerplatte. Żywa po wieczne czasy wielką legendą bohaterstwa i poświęcenia. Drogowskaz dumy, odwagi i wytrwania. Symbol postawy nieugiętej Narodu.

Plonie ognisko. Biją glucho werble żałobne. Apel poległych.

— Plutonowy Pecelt!

— Nieobecny. Poległ na polu chwały. —

Szczęk broni. Błysk bagnetów w blasku ogniska. Postawa — prezentuj broń!

— Kapral Gębura!

— Nieobecny. Poległ na polu chwały.

I znów szczęk broni. I znów szczęk bagnetów w blasku ogniska. Postawa — prezentuj broń!

W ciszę łagodnego wieczoru donośnie padają nazwiska. Spiżowym tonem dźwięczą głoski. Spiżem ryje się w sercach Narodu Ich pamięć.

Te nazwiska. to symbol sprawiedliwości i zwycięstwa. Ofiary głębokiej i miłości serdecznej. Symbol Polski niepokonanej i niezłamanej. Polski przez krew i ofiarę Westerplatte. wracającej na Ziemię Piastów.

— Kapral Kowalczyk

— Kapral Perucki

— St. Strzelec Zatorski

— St. Strzelec Okraszewski

— St. Strzelec Jezierski

— St. Strzelec Ziemia

— St. Strzelec Jakubiak

— Strzelec Krzak

— Strzelec Ciwil

— Strzelec Piróg

— Strzelec Kita

— Zawiadowca stacji Najsarek

— Leg Us.

Nieobecni, padli na polu chwały.

Glucho biją werble żałobne. Echo niesie je hen, jak Polska długa i szeroka. Na wschód i zachód, południe i północ.

I jak Polska długa i szeroka, stają ludzie na baczność. Preżną się ramiona. Na cześć i wieczną pamięć Tych, co za nas ginęli.

— Prezentuj broń!

Kapral ze zdumieniem spogląda na zegarek.

— Dopiero wpół do szóstej!

Komuś ze zdziwienia trzaska przez pół zapalniczkę cierpliwie zapalka.

— Jezu, a tu się jakby już tydzień przebyło!

W kącie na ziemi z cicha jęczy ranny strzelec. Obok martwymi oczami pusto spogląda, w przestrzeń kapral Kowalczyk. Jego godzina już przeszła.

Ktoś donosi, że ciężko ranny został dowódca „Promu”, porucznik Pająk. Zabici jeszcze st. sierżant Najsarek i st. szer. Ziemia.

Ktoś próbuje nucić:

— „Śpij, kolego, w ciemnym grobie“...

Nowe strzały wstrząsają ziemią. Wali „Schleswig Holstein”. Siekają k-emy ze spichrza, z wieży kościelnej.

Z jękiem bolesnym ginie jedyne polskie działo. Nad Westerplatte poczyna mocniej przygrzewać słońce. W koszarach Radio Polskie obwieszcza wszystkim narodom napaść niemiecką:

— Wojna się rozpoczęła...

— La guerre commença...

— Wajna naczalaś...

— It's war...

Powietrze wibruje, roztrącane lotem pocisków. W chwilach między jednym strzałem a drugim od strony miasta niosą się jakieś hałasy — okrzyki, wiwaty...

Dochodzi godzina 7 rano. Dla Westerplatte wojna zaczęła się dwie godziny i kwadrans temu. Zaczęła się najwcześniej...

Każdej wolnej chwili wyciągał gdzieś z wewnętrznej kieszeni zniszczony, skórzany portfelik, a stamtąd fotografię młodej, ładnej dziewczyny. Jasna blondyna, z figlarnym kosmykiem, wiszącym u czoła, z noskiem zadartym w górę i białymi, błyszczącymi zębami, z rozchylonymi z lekka wargami w niewinnym uśmiechu. Tylko oczy, jasne, wielkie, poza figlarną iskierką kryły w głębi jakby zadumę jakąś, bojaźń przed czymś niepewnym, nienazwanym. Może to przeczuć nadchodzących dni było, nieomylny instykt kochającej duszy kobiecej...

Teraz stał, wpatrzony w te oczy dłużej niż zwykle. Nie słyszał zda się szalejącej wokół nawałnicy ogniowej!

Kolega z boku zerknął raz, drugi. Wreszcie nie wytrzymał.

— Szlag by cię trafił z twoim patrzaniem. Ciągłe w nią gały wylepiasz. Żal ci może, że wczoraj o 5-tej żeśmy się nie poddali. 12 godzin wyznaczonych w rozkazie przecie minęło. Z czystym sumieniem można było gacie białe wywieszać...

Rzucił się jakby rażony ogniem. Dłoń z karabinem wzniosła się groźnie, niepoohamowanie ku górze. Spokojne, zadumane oczy grzmotnęły błyskawicą. Drobne, wąskie wargi wściekłością zdrzęzały. Nos, jedyny biały w umorusanej twarzy, wargoni wtórował.

— Ty — rzeził nieledwie, ciężko dysząc — jeszcze słowo...

— Żartowałem przecie, znamy się nie od dziś — uspokajał tamten.

— No więc, wiesz przecie, że dziesięć razy bym trupem padał, i dziesięć razy bym miał zmartwychwstać, to bym tu wracał. To przecie, zrozum, dla Polski, i dla niej... dla Hanki...

— Uwaga! Natarcie wroga... — zabrzmiał głos komendy.

Już nie pamiętali rozmowy burzliwej sprzed chwili. Uwaga cała, myśl, dusza — wszystko to skupiało się w jednej woli i jednym pragnieniu — nie dać się, odeprzeć jeszcze raz wroga, i jeszcze raz i jeszcze. Aż do ostatka, dopóki wzrok będzie patrzył, dopóki ręka zdoła spust naciskać, dopóki przytomność nie zawiedzie...

Okolo godziny pierwszej w południe drugiego dnia września nastąpiła zupełna cisza. Ustały dziwnie jakiegokolwiek działania bojowe.

Z niepokojem patrzył żołnierz w tę ciszę. Gorączkowo, raptownie przeżywał jedzenie, ostatnie gorące jedzenie w znojnym dniach bezpamiętnej walki.

Nad Westerplatte stało mocne, południowe słońce. Rozgrzane powietrze przepływało lekkimi falami. W delikatnym, łagodnym wietrze szmerzały smutnie jakoś i tęskno okaleczone drzewa. Lekką morką marszczyły się fale wybrzeża. Nad las ośmieliła się przelecieć jakaś zblakana wrona.

Dziwny był ten spokój chwilowy. Groźny a tajemniczy. Nad kanałem błyskała w słońcu sylwetka „Schleswig-Holsteina”. W koszarach cicho pojeżdżali ranni. Sztabowy lekarz biegał od jednego do drugiego, potem znów do apteczki, i znów do rannych. Za głowę się chwytął z rozpaczy — już w drugim dniu brakować zaczęło opatrunków, niezbędnych bandaży i waty. Wszystko zostało w niedopuszczonym jeszcze 28 sierpnia przez Niemców pociągu amunicyjnym.

Punkt opatrunkowy mieścił się w piwnicy koszar. Ciemno tam i wilgotno. Chorzy leżą spokojnie. Któryś modli po cichu. Na ścianie czernieje krzyż z jasną sylwetką Chrystusa. Symbol miłości i poświęcenia. W serca chorych wkłada się spokój i ukojenie...

W koszarach żołnierze szluzowani przed chwilą z placówek i wartowni. Ktoś śpi. Któryś najspokojniej czyta. Przy oknie stoi starszy strzelec, wpatrzony w fotografię swej Hanki. Coś do niej szepece. Kolega obserwuje go spod oka i wzrusza ramionami. Ale po chwili sam gmerze coś po kieszeniach, wydostaje fotografię małego chłopaczka, spogląda na nią z westchnieniem, i jakby zawstydzony i zły na siebie za „głupie sentymenty”, szybko ale starannie chowa z powrotem.

W przyległej izbie głośno za to i gwaro. Dym papierosowy gestym obłokiem wznosi się ku powale.

— Palcie! chłopcy, bo coś mi niedobrze wygląda ten spokój. Czuję, że będzie prędko mocno gorąco. Może, cholera, ostatni raz palicie...

— Psiamać, zakajane Szwabry, wojny się im zachciało. Ale i tak jeszcze w d... dostaną!

— Czy tylko zanim ujrysz, sam kity nie wyciągniesz — warknął ktoś z gniewem.

Na chwilę zaległo milczenie. Każdy coś ważył w sobie. Sytuacja była rzeczywiście tragiczna. Jak można było się zorientować z komunikatów radiowych, na posiłki nie było co liczyć. Niemcy uderzyli z takim impetem, że całe siły rzucić im należało na odpór. Trudno myśleć było o małych odcinkach.

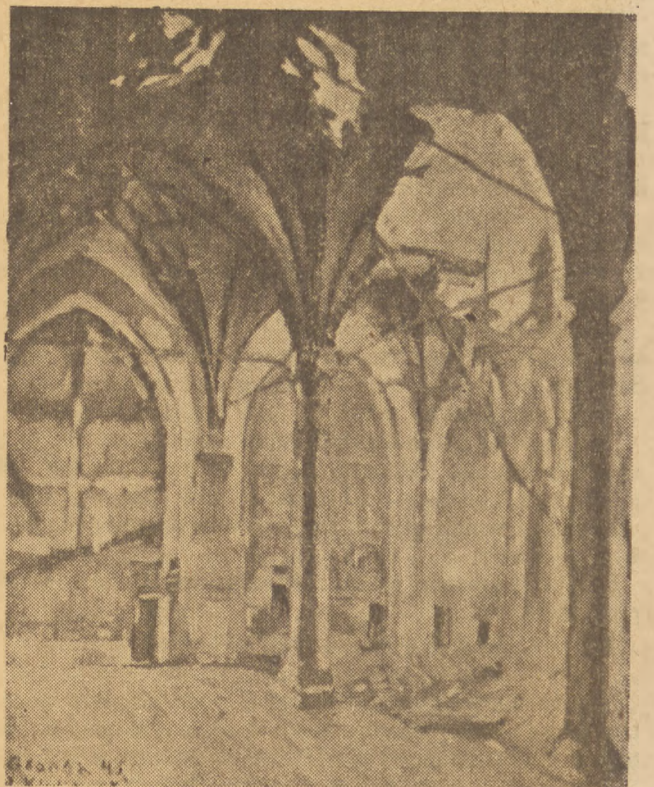
Ciszę przerwał porucznik, stojący w drzwiach wiodących z przyległej kwatery:

— Co u was tak cicho, chłopaki? Zaśpiewajcie cokolwiek, a mocno, niech fryców szlag trafia ze złości. Podali, że Gdańsk już ich. Nie jeszcze, bo my tu siedzimy...

Karabin maszynowy
to idealna broń
i każdy chłop morowy
chętnie się garnie doń

— grzmotnęło po sali.

(Dokończenie na str. 6-tej)



Ruiny Dworu Artusa u Gdańska.
mal. Ignacy Isakowski, Gdańsk.

W OGNIU WALKI

Poczta Polska w Gdańsku

Nie była ona należycie uzbrojona, mając zaledwie kilka dział oraz nieliczną, przetrzebioną w walkach artylerię Marynarki Wojennej i Obrony Wybrzeża. Na flance, widniał port handlowy, Gdynia. Z tyłu — morze. Z tej strony, nie sposób było liczyć na własną pomoc. Z okrętów naszej Marynarki Wojennej, pozostałych z chwilą wybuchu wojny na gdańskich wodach, liczyło się już wówczas prawie same — wraki. Silniejsze jednostki, O. R. P. „Grom”, „Błyskawica” i „Burza”, opuściły dnia 28 sierpnia Gdynię, wysłane do portów brytyjskich. Uszkodzone w pierwszych działaniach polskie łodzie podwodne, musiały porzucić zatokę Gdańską, aby znaleźć schronienie w portach szwedzkich. Od bomb i pocisków niemieckich padły kolejno ofiarą: stawiacz min „Gryf”, kontrtorpedowiec „Wicher” i kilka mniejszych jednostek.

W tych warunkach Niemcy rozporządzali przeciwko redukcje na Oksywiu siłą wprost miążdzącą. Jak to dziś dopiero okazuje się na podstawie dokumentów, stanowiły ją wtedy: 2 pancerniki, 1 krążownik, 6 kontrtorpedowców, wiele mniejszych okrętów i statków pomocniczych, a ponadto, w akcji lądowej — 2 dywizje piechoty, 1 pancerna brygada, 1 pułk ciężkiej artylerii kolejowej i około 150 samolotów.²⁾

W tym samym czasie walczyło po stronie polskiej kilkanaście tysięcy żołnierzy, przeważnie marynarzy i kosynierów. Tym ostatnim, należy się osobna, piękna karta w dziejach obrony Oksywia i Gdyni. Byli to cywilni ochotnicy, młodzież, dla której zabrakło wtedy broni i umundurowania. Mimo, że dano im kosa w ręce i nic prawie ponadto, dowiedli jednak w walkach — prawdziwie raclawickiego heroizmu. Bili się niezwykle dzielnie pod Suchym Dworem (w lasach między Chylonią i Dębogórzem. Padło ich tam tysiąc, może więcej, któż by to wtedy liczył? Wiadomo, że Niemcy boją się białej broni. — Widok kos przejmował ich panicznym strachem. Podczas walk ówczesnych niemal zawsze ustępowali pola kosynierom, uciekając przed nimi w poplochu. Ale też na schwytanych do niewoli, mścili się bezwzględnie, po swojemu. Rozstrzelali ich na miejscu.

W nieustannych podchodach, wypadach i kontratakach zmieniała się linia wąskiego frontu na przymorskiej krawędzi ziemi. W nocy odbierano Niemcom to, co zdobyli za dnia, chociaż częściej — z uwagi na białą broń — miała się rzecz na odwrót. Faktem jest niezaprzeczonym, że jeśli Niemcy przedarli się do podnóża Oksywskiej Płyty i tutaj w akcji poczynić mogli jakieś postępy, to tylko dzięki swemu lotnictwu. Była to broń, na którą — jak wiemy z pamiętnego września — nie znaleźliśmy właściwej odpowiedzi.

Trzynastego dnia tej walki Suchy Dwór stanął w ogniu i krwią spłynęło Dębogórze. Czternastego — trzeba było oddać Gdynię, aby oszczędzić miastu i jego mieszkańcom dalszego zniszczenia i strat.

Piętnastego września płk. Dąbek wraz ze swoją załogą, pomniejszoną do liczby 8.000 żołnierzy, znalazł się w zamkniętym pierścieniu, osaczony, bez wyjścia. Lecz właśnie te chwile świadczą o oksywskich bohaterach. Nie opadyli im zmęczone ręce, nie schyliły się wtedy ich harde czoła. Pozostała tylko śmierć, którą należało przyjąć godnie. Pod osobistym dowód-

stwem prowadzi płk. Dąbek przeciwnatarcia, i świecąc własnym przykładem męstwa, raz po raz zrywa swoich żołnierzy do ponownego zmierzania się z niemiecką nawałą.

I znów cytuję dosłownie: „Niemcy kilkakrotnie zdążyli już przez czas walki przetasować swoje oddziały, podczas gdy nasza obrona, bez wytchnienia, przez wszystkie dni i noce, walczy niezmiennie ta sama”. Tylko Babi Dół przestał już być polem walki, zamieniony w jeden wielki szpital i — cmentarzysko. Płytę Oksywską zasłały trupy i ranni. Dnia 19-go września, od świtu, pokryli ją Niemcy huraganowym ogniem artyleryjskim.

Na terenie 3—4 kilometrów kwadratowych zwięźli się jednak tutaj i mocno zasupłał duch oporu. Kie-

dy Niemcy przeszli do ataku, musieli zdobywać każdy załom muru. W gmachu koszar broniono się przez kilka godzin. Dowódcą był tu ppłk. Wężyk. Pozostało przy nim zaledwie 800 ludzi zdrowych i 3.000 rannych, którzy do ostatka na tej placówce — przetrwali. Według obliczeń, około 4.000 żołnierzy padło w ogólności w oksywskich walkach.

Kiedy przyszło do kapitulacji przed zniechęconym wrogiem, rozległ się po przerwaniu ognia jeszcze jeden wystrzał. To płk. Dąbek kulą w skroń odebrał sobie życie. Był to ostatni znak bohaterstwa, która nie chciała uznać, ani pogodzić się z klęską. Wierzyła bowiem zawsze w zwycięstwo.

Janusz Stępowski

Droga Krzyżowa Polaków-Gdańszczyzan

Samoobrona Polaków-Gdańszczyzan przed wojną i ich gehenna w czasie okupacji

Wobec stworzenia przed wojną przez Niemców na obszarze W. M. Gdańska jednolitego frontu przeciwpolskiego, począwszy od partii socjalistycznych a skończywszy na partii „Centrowej” katolickiej, społeczeństwo polskie w Gdańsku było zmuszone stworzyć samoobronę.

W roku 1929 rozpoczęto, w tym kierunku pracę skoordynowaną, reorganizując nowo powstały Związek Powstańców i Wojaków i tworząc z niego pierwsze oddziały paramilitarne. Stopniowo wciągano w orbitę spraw Związek Oficerów Rezerwy, Związek Podoficerów Rezerwy, Związek Ochotników Wojska Polskiego obywateli gdańskich itp. Następnie organizowano nowe oddziały, pod nazwą Klubów Sportowych jak: K. S. Gryf, K. S. Orzeł, K. S. Rybitwa, K. S. Kolejowy, K. S. Akademicki, Przysposobienie Harcerzy itp. Harcerstwo ściśle współpracowało z innymi klubami, również Tow. Gimnastyczne „Sokół”. Niezależnie od tego prawie przy każdej filii Związku Polaków — Gminy Polskiej, organizowano kluby sportowe, nadając im nazwy miejscowości lub przedmieść Gdańska n. p. K. S. Sidlice, Orunia, Trąbki, Belkowo itp. Całością kierował sztab na wzór wojskowy pod oficjalną nazwą „Polska Rada Sportowa w Gdańsku”. Właściwy cel tych organizacji był znany tylko członkom sztabu i wyższym dowódcom. Prace wszelkie uzgadniane były z władzami wojskowymi w Warszawie gdzie prowadzono Radę Sportową w Gdańsku pod nazwą „Okręg Północny”. Kluby te podzieleno na członków przysposobienia wojskowego, aktyw i członków porządkowych.

Członków przysposobienia szkolono dwa razy w tygodniu na terenie W. M. Gdańska i na koloniach w Województwach Centralnych. Program szkolenia, obejmował gimnastykę, boks, musztrę, trójkąt błędów, strzelanie małokalibrowe oraz wykłady. Większą część wykładów stanowiło „wychowanie obywatelskie”. Członkowie aktywu byli szkoleni w niedziele i święta w mundurach wojska polskiego i z bronią wojskową w Gdyni-Grabówku, Borkowie, Wejherowie, Kartuzach i Tezewie oraz na kursach specjalności podoficerskich i oficerskich. Kursy te organizowane były bądź we własnym zakresie, bądź korzystało się z kursów wojskowych, najczęściej Z. S. Członek aktywu miał prawo normalnego awansu jak w wojsku. Nominacje ogłaszane były w rozkazach tajnych. Szereg Polaków-Gdańszczyzan otrzymało nominacje podoficerskie i oficerskie W. P. Członkowie po-

Umowy — Warszawska z 1921 r. i Genewska z 1923 r. powiadały m. in., że Polska ma prawo posiadania w obrębie portu własnej służby pocztowo-telegraficznej.

W styczniu 1925 r. organizuje Polska własną służbę pocztową. Na ulicach Gdańska zawisa 20 skrzynek listowych z białymi orłami. Co nocy niemal któreś ze skrzynek brakuje, albo też leży zerwana i rzucona na ziemię Reszta zasmarowana jest smołą.

Polska interweniuje w Hadze. Trybunał Międzynarodowy ustanawia raz jeszcze „strefę portu”, mającą być objętą przez polską pocztę.

Na ulicach gdańskich pracują polscy listonosze. Stale są obiektem drwin, szykan, i zgłoda zbójcekich napaści. Działalność poczty

polskiej usiłuje się paraliżować na każdym odcinku.

Jeszcze 31 sierpnia polscy listonosze roznoszą ostatnie depeşe z Warszawy...

1 września żołdacy niemieccy kolbami rozbijają czerwone skrzynki poczty polskiej. Z niehamowaną wściekłością tłuką szczególnie w białe orzełki...

Na kilka minut przed piątą telefonistka z gmachu poczty informuje Komisarjat Generalny R. P., że wszystkie połączenia z krajem są pozrywane, że Niemcy przecinają ostatnie druty. Gmach Poczty Polskiej jest otoczony przez wojsko. Załoga zamierza się bronić...

Równocześnie ze szturmem na Westerplatte nastąpiło uderzenie na gmach Poczty Polskiej.

Stabe było uzbrojenie urzędników polskich, słabe zabezpieczenie budynku przed atakiem. Ale odrzuca załoga ataska propozycję poddania się. Z niesłychanym bohaterstwem i poświęceniem walczy do ostatka.

Niemcy zmuszeni są do użycia armat i miotaczy płomieni. Wśród dymu i ognia, huku pękających pocisków, nie przestają jednak padać strzały z polskich rąk.

Obrońcy płoną żywcem w morzu płomieni. A jednak zwęglone ciała jeszcze kurczowo trzymają karabin. Wreszcie, gdy nie ma już wśród obrońców nikogo zdolnego do utrzymania broni w poparzonych i okaleczonych rękach, o 6-tej wieczorem następuje kapitulacja.

Zwycięzcom spotyka stos okaleczonych, zwęglonych ciał. Mężczyźni i kobiety. Jednak bronili sławy polskiego imienia.

Pozostali przy życiu wszyscy są ranni. I teraz spadają na nich uderzenia i zniewagi rozwścieczonego tłumu SS-manów. Obce im jest pojęcie szacunku wobec jeńca. Góruje nad innym uczuciem sadyzm i żądza krwi.

Komendant gdańskich oddziałów „SS Heimwehr”, generał Eberhardt, stawia pozostałych przy życiu obrońców Poczty pod doraźny, improwizowany sąd wojskowy. — Wyrok skazuje 38 bohaterów na śmierć przez rozstrzelanie.

Skazani przewiezieni zostają na teren strzelnic wojskowych w Wrzeszczu na Zaspie. Tam następuje wykonanie wyroku.

Nawet mogiły po nich nie zostały. „Przezorny” Eberhardt nakazuje całkowite zatarcie śladów zbrodni.

Razem z padłymi bezpośrednio w obronie — 70 Polaków — pracowników Poczty Polskiej w Gdańsku rozpoczyna listę milionowych strat narodu polskiego w tej wojnie.

Cześć Ich pamięci!

P-a

wykoleienie się pociągu pośpiesznego Warszawa — Puck.

Nie było dnia, żeby ilość więźniów gdańskich nie powiększyła się o dalszych Polaków.

Dnia 1 września 1939 r. w dzień wybuchu wojny Niemcy pokazali swoje prawdziwe oblicze. Od godz. 2-giej w nocy rozpoczęli wyciągać z łózek mężczyzn Polaków — przeważnie w białym. W koszuli i boso zabierali z domów. Co z tymi ludźmi wyrabiano, przechodzi wszelkie pojęcie ludzkie. Polaków tych motoch gdańskich między innymi kobiety i dzieci, obrzucał kamieniami. Kazano aresztowanym padać na bruk, biegiem pędzono wszystkimi ulicami śródmieścia. Przy wejściach do więzień i miejsc koncentracyjnych np. Viktoria-schule, przepuszczano Polaków przez szpaler kilkunastu policjantów gdańskich, uzbrojonych w specjalne pałki, którzy bili, gdzie padło, aż krew tryskała. Podsta-

(ciąg dalszy na stronie 8-mej)

²⁾ Stanisław Strumph Wojtkiewicz w rozdziale „Polska Marynarka Wojenna” książki pt. „Sikorski i jego żołnierze” (str. 165).

Obrona wybrzeża w wrześniu 1939 r.

Dalecy od chęci skreślenia syntezy 31-dniowych walk nad i na Bałtyku postaramy się jednak wydobyc szereg momentów autentycznych, na ogół nieznanymi. Na wstępie wypada nam zrobić rozgraniczenie pomiędzy wyczynami floty wojennej i oddziałów lądowych marynarki wojennej. W sumie stworzyły one obronę wybrzeża, ale łączenie ich zaciemnia pogląd czytelnika na charakter i cele wojny morskiej. Stwierdzamy więc, że kierownictwo M. W. zrezygnowało w zasadzie z prowadzenia operacji wojenno-morskich wobec druzgocącej przewagi liczebnej, jakościowej, organizacyjnej nieprzyjaciela i braku odpowiednio rozbudowanych i bezpiecznych baz. Gros sił morskich zostało odkomendowane na morze Północne, reszta otrzymała rozkaz współdziałania z siłami na lądzie. Pomimo takiego rozwiązania wszystkie pozostawione w kraju jednostki podjęły akcje morskie. Na czoło ich wysuwa się wielka bitwa z lotnictwem niemieckim w dniu 1 września na wodach zatoki. Doprawdy niemal szaleństwem było przeprowadzić wtedy stawianie min zagrodożonych, gdyż w promieniu kilkudziesięciu,

czasem kilkunastu km stacjonowało 150 nowoczesnych samolotów, które bez przerwy startowały i atakowały nieduży przecież teren naszego wybrzeża i morza. Pomimo tego, i mimo zupełnego braku własnego lotnictwa, „Gryf” i sześć trawlerów w jasny dzień wykonało swą pracę.

Nasz stawiacz min, mając na pokładzie 262 miny, został zaatakowany bombami i nawet trafiony. Padł dowódca okrętu i 16 marynarzy, miny jednak nie eksplodowały. Sama myśl o podobnej możliwości

jest zdolna wywołać panikę wśród starych bojowników morskich. Załoga „Gryfa” okazywała jednak wówczas tylko niezadowolenie, że musiała przeprowadzić pracę w tempie przyspieszonym bez ustalonego schematu.

Ciężko ranny porucznik M. W. Mielczarek z uszkodzonego ORP „Mewa” umierał ze słowami: — „Nic mi nie jest, a jednak „Gryfa” nie daliśmy szkopom!”

Lotnicy niemieccy nie zastraszyli naszych okrętów. Nasi dowódcy — szczególnie komandor — por-

de Walden z ORP „Wicher”, — zachowali niezwykle spokojnie i wśród fontann wodnych prowadzili swe jednostki, niby szpilki w labiryncie śmierci. Na pełnym morzu wszystkie pojedynki z samolotami były wygrywane, zawodziły jedynie słabo wyposażone w broń przeciwlotniczą, bazy, gdzie okręty zamiast odpoczynku czekały dalsze trudy.

OPR „Wicher” zestrzelił 2-go września wielkiego „Dorniera”. Największą operacją floty wojennej Polski była bitwa 3 września 1939 r. z zespołem niemieckim kontrtorpedowców pod dowództwem osławionego admirała Luetjensa. Ambitny plan tego ostatniego polegał na tym, że silna i liczna artyleria jego jednostek zniszczy wszystkie okręty polskie, a nadto baterie helską. Pomimo zaskoczenia i uszkodzenia „Gryfa”, w bitwie został zatopiony jeden kontrtorpedowiec typu „Leberecht Maas”, drugi admirałski uszkodzony tak, że ocalał sam Luetjens. Reszta szukała ratunku w Piławie.

Ruchy niemieckie kępowały wówczas polskie okręty podwodne, które nadto zajmowały się stawianiem min. Zatoneły na nich dwa

duże poławiacze min typu „M85” (500 ton), a jeden został uszkodzony. Mimo pościgu patroli morskich i powietrznych żaden z naszych nurkowców nie został zniszczony. Mniejsze jednostki nawodne polskiej M. W. działały do połowy września. Trawlery minowały oczyszczone przez Niemców szlaki wodne i toczyły pojedynki artyleryjskie z łodem podobnie jak obie nasze kanonierki.

W sumie unieszkodliwienie pozostawionych na straconej pozycji jednostek polskich kosztowało Niemców bardzo drogo.

Załogi zatopionych okrętów przechodziły na ląd i walczyły dalej. Obrona wybrzeża od strony lądu charakteryzuje się indywidualnymi i zbiorowymi wyczynami, skutecznością i celowością. Przygotowania z okresu pokojowego nie były zbyt duże, triumfy znowu święciła polska improwizacja.

I tak z blach przeznaczonych na kadłub ORP „Huragan” zmontowano trzy pociągi pancerne, które podjęły wypadki od Wejherowa, wdzierając się 16 km w głąb b. terytorium niemieckiego. Była to jedna w kampanii wrześniowej walka poza granicami Polski.

W uporczywej obronie, zaciętość bohaterów z Westerplatte została przysłonięta przez niewielką grupę, broniącą Oksywia.

Największą sławą jednak przysługuje Helowi, który urągał sobie z nalotów (38 samolotów zestrzelonych, z czego 15 jedna tylko bateria por. Wacława Krzywca, drugie tyle uszkodzonych) i pancerników (27 września uszkodzenie „Schleswiga-Hollsteina”). Baterie helskie, uzupełnione działami zdjętymi z „Gryfa” i zatopionych trawlerów, rozbiły skutecznie po wielokroć zespoły okrętów niemieckich, wdzierających się do Zatoki Puckiej. Uszkodziła kilkanaście mniejszych jednostek.

Garść luźno wrytych kartek z obrony wybrzeża ukazuje na znakomitego ducha bojowego, panującego w oddziałach morskich i lądowych polskiej Marynarki Wojennej. Pozbawieni możliwości prowadzenia choćby małej wojny morskiej przez brak okrętów i odpowiednich baz zrobili to, czego oczekiwano od nich nieświadome ogromu katastrofy społeczeństwo polskie w tragicznych 31 dniach kampanii. Ostatni strzał padł nad Bałtykiem.

Józef Modrzejewski



Bohaterska załoga polska opuszcza Westerplatte w dniu kapitulacji.

Cień swastyki nad Bałtykiem

Niemiecka marynarka wojenna nie została zlikwidowana. Choć przeszło półtora tysiąca okrętów zostało rozdzielonych pomiędzy zwycięskich sojuszników, choć przeprowadzono demobilizację marynarzy, przecież pozostały Niemcom zarówno okręty jak i kadry personalne. W chwili obecnej pływa jeszcze 320 poławiaczy min a na wyspie Fehmarn znajduje się obóz nierozbrojonych i utrzymywanych w surowej dyscyplinie członków b. floty hitlerowskiej. Dowódca tego obozu admirał Rieve oświadczył swym ludziom jasno i wyraźnie, że niemiecka siła na morzu odrodzi się w dawnej skali.

Niemiecki duch wojenno-morski więc żyje. I myśli już o odrodzeniu. Źródło tego odrodzenia zaś znajduje się w zatoce kilońskiej — nad Bałtykiem. Nie można zatem tych spraw lekceważyć. Prasa polska częstokroć daje się zasugerować doniesieniami z Zachodu jak np. zniszczeniem bazy w Helgolandzie i zatopieniem ostatniego pływającego krawozownika „Leipzig” i mimo woli usypia czujność. Tymczasem jest wiele powodów właśnie do jej wzmożenia.

Wymienione na wstępie fakty jeszcze na razie nie zagrażają bezpieczeństwu polskiej ekspansji morskiej i wybrzeżom Ziem Odzyskanych.

Porównując jednak warunki startu floty niemieckiej i polskiej trzeba stwierdzić, że Niemcy mają lepsze. W zakresie jednostek pływających mamy zaledwie 13 poławiaczy min, 12 ścigaczy okrętów podwodnych i 22 (razem z budującymi się) ścigacze torpedowe. Trzy okręty podwodne powrócone nam przez Szwecję, z wyjątkiem „Sępa” są już przestarzałe. Starania o powrót okrętów z Anglii przyniosły rezultaty więcej niż skromne. Przyznano nam tylko te jednostki, które były w naszym posiadaniu przed wybuchem wojny z wyłączeniem oczywiście zatopionych. W rachubę wchodzi zatem trzy: „Błyskawica”, „Burza” i „Wilg”, z których dwa ostatnie są już zużyte i nie chodzą.

Również sprawa powrotu naszych marynarzy i personelu technicznego jest ciągle jeszcze nieuregulowana.

Trzeźwa charakterystyka sytuacji nie daje więc powodu do usypiania opinii publicznej. Dlatego

palaca staje się sprawa ustalenia programu wojenno-morskiego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Niemcy w najbliższych latach nie będą mogli podejmować nowych konstrukcji. W przeciwnieście do tego nasze stocznie stopniowo będą mogły zająć się budową nowoczesnych okrętów wojennych różnych kategorii. Wyciąganie z tego wniosków, że nie potrzebujemy się

~~~~~  
**Polski Związek Zachodni ma za zadanie zlikwidowanie niemieckich w Polsce.**  
~~~~~

Czy jesteś już jego członkiem?
~~~~~

spieszyć, że możemy sobie rozłożyć program na bardzo długi okres czasu, jest fałszywe. Musimy sobie uświadomić szereg następujących faktów. Niemiecki przemysł ciężki na zachodzie nie został ani zniszczony przez bombardowania ani rozebrany przez aliantów. Procent demontażu jest stosunkowo niski. Wśród sprzymierzonych panuje zaś jednorodność w kwestii utrzymania Niemiec jako kraju przemysłowego. Co zaś potrafi „pokojowy przemysł” niemiecki niech zdradza cyfry, z niedawnej przeszłości.

Do 1935 roku Niemcy nie mogli rozbudowywać swych sił morskich ani ilościowo ani jakościowo. Wystarczyło jednak 5 lat, aby wodować 3 największe na świecie pancerniki po 40.000 ton (jeden później rozebrany) „Bismarck”, „Tirpitz”, „D”, 2 olbrzymie krawozowniki liniowe po 31.000 ton „Scharnhorst” i „Gneisenau”, 2 lotniskowce po 19.000 ton „Graf Zeppelin” i „B” (rozebrany), 4 ciężkie krawozowniki „Blücher”, „Hipper”, „Prinz Eugen” i „Seydlitz”, 22 kontrtorpedowce i 54 okręty podwodne. Armada ta wystarczyła, by przez pięć i pół roku wprowadzić zamieszanie na wszystkich wodach świata i niepokoić największe potęgi morskie.

Nowa polska flota wojenna musi być więc budowana systematycznie rok w rok, już od najbliższego czasu i w odpowiedniej skali, gdyż nasz przemysł w momencie ponownego zrywu niemieckiego nie będzie mógł z nim rywalizować. Nie możemy popełniać błędów z okresu międzywojennego, kiedy to zmarnowaliśmy kilkanaście lat na planowaniu i czczych wypowiedziach

„Odpowiedź Treviranusowi” itp. Mały program, opracowany w 1924 roku i obejmujący budowę 2 lekkich krawozowników, 6 kontrtorpedowców i 12 okrętów podwodnych był stale odkładany i ostatecznie nigdy nie zrealizowany. Nauka wrześniowa powiada wyraźnie, że wszelkie wysiłki gospodarcze muszą mieć równorzędne odpowiedniki w wysiłkach nad ich zabezpieczeniem. Budowa największego na Bałtyku portu gdyńskiego bez floty wojennej była karygodną lekko-myślnością i skazywaniem swego dzieła na łup wrogowi. Nie wolno więc powtórzyć błędów, jeśli nie ma powtórzyć się wrzesień.

Rozbudowujemy kompleks portów Gdynia — Gdańsk, odbudujemy Szczecin i inne odzyskane porty, planujemy flotę handlową na 600.000 ton, rybacką podnosimy stale (za kilka miesięcy będzie już 180 kutrów i 9 trawlerów). W tej skali musi być podjęty wysiłek wojenno-morski.

## Droga Krzyżowa Polaków - Gdańszczan

(Dokończenie ze strony 7-ej)

wiano im nogi, a gdy któryś upadł, bito aż do wykończenia. W więzieniach łamano ręce i żebra, strzelano z rewolwerów jak do zajęcy — dla rozrywki. Bito po twarzy aż bity zmarł. Przywiązywano do pędzącego samochodu (Muzalewski). Zrzucano z I piętra na kamienne schody (Lendzion). Wpychano do dołu kloaczny i strzelano z rewolweru, żeby dał nurka (Wiśniewski). Takimi oto metodami niszczo no tych, którzy walczyli o polskość Gdańska.

Dnia 4 września 1939 r. wyszła ustawa o konfiskacie majątku polskiego. Wszystko, co Polacy posiadali, nieruchomości, sklepy, meble, ubrania i bieliznę konfiskowano. Jeśli ktoś z rodziny należał do organizacji polskich i brał czynny udział w życiu politycznym przed wojną, aresztowali wszystkich członków rodziny bez względu na wiek i osadzali w obozach.

Ukoronowaniem prac przygotowawczych w Związkach i Klubach Sportowych z przed wojny, była obrona Poczty Polskiej, której pracownicy bronili się samorzutnie przez 13 godzin (około 40 ludzi) wobec całej potęgi niemieckiej.

Wszyscy obrońcy ponieśli śmierć, skutkiem czego nie można odtworzyć dokładnie przebiegu walk.

Urzędy polskie i wszystkie większe obiekty były przygotowane do obrony, która została na kilka dni przed rozpoczęciem działań wojennych przez władze naczelne w Warszawie odwołana. Dlaczego Poczta Polska się broniła, pozostaje narazie tajemnicą. Po odwołaniu obrony obiektów polskich w Gdańsku, miała bronić się tylko Westerplatte, przez 12 godzin.

W obronie Westerplatte, brało również udział kilkunastu członków wyżej wspomnianych oddziałów.

Polacy-Gdańszczanie walczyli wszędzie. W Gdyni również byli licznie zastąpieni w tak zwanych kompaniach dzikich (to jest zorganizowanych samorzutnie). W obronie Warszawy również byli obecni.

W czasie okupacji po pierwszym otrząśnięciu się rozpoczęli skupiać się w organizacjach podziemnych, szczególnie w Polskim Związku Wolności. Była to organizacja tajna wojskowa, obsadzająca swoimi członkami stanowiska przeważnie w porcie, kontrolujące ruchy i pra-

ce w portach, jak np. holowniki i barki, którzy mieli wszędzie doświadczenie, meldując władzom przełożonym o wszystkich spostrzeżeniach. Dzięki tym ludziom uratowana została większa część urządzeń rządowych w porcie gdańskim, w szczególności w basenie węglowym.

Ponadto zorganizowano stałą pomoc dla rodzin Polaków uwięzionych oraz pomoc dla uciekinierów z obozów, których zaopatrywano w potrzebne dokumenty i udziela no pomocy materialnej, kierując dalej do oddziałów partyzanckich w lasach kartuskich i Borach Tucholskich.

Niemcy wcielili Polaków-Gdańszczan do III i IV grupy listy niemieckiej, które to grupy były uważane za element mniej wartościowy i niekorzystający z tych przywilejów, z jakich korzystały I i II grupa narodowościowa, aczkolwiek po wcielaniu Gdańska do Rzeszy wszyscy Gdańszczanie stali się automatycznie obywatelami Rzeszy I grupy, więc również i Polacy-Gdańszczanie. Większa część społeczeństwa mylnie utrzymuje, że Gdańszczanie się „eindeutschowali”.



# Nasze prawo do Pomorza

Wracając po wielowiekowej nieobecności na dawną ziemię bratnią, słowiańskiego plemienia, Pomorzani i na dziedzictwo pierwszych Piastów, powinniśmy się tu czuć jak u siebie, w swej ojczyźnie.

Prawa nasze do Pomorza, od Odry do Wisły, opieramy na trzech zasadniczych podstawach: 1) na odwiecznym zamieszkaniu tej ziemi przez Słowian-Pomorzan, najbliższych krewniaków Polan, 2) na posiadaniu Pomorza przez wiele stuleci i 3) na konieczności biologicznej i państwowej posiadania całego wybrzeża pomorskiego.

Rozpatrzmy kolejno każdy z tych punktów. Najstarsze źródło historyczne, dotyczące Pomorza, znajdujemy u pisarza rzymskiego Pliniusza Starszego z I wieku po Chr., który mówi że siedziby Wenedów, a więc Słowian, leżały gdzieś na zachód od Wisły, a w pobliżu morza. Obszerniejsze wiadomości czerpiemy od Aleksandryjskiego geografa z II-go wieku po Chr. Ptolomeusza, który podaje w swej geografii o Wenedach, że mieszkali: „obok całej Zatoki Wenedzkiej“, a o Weltach (Woleci — Wielcy) — „dalej obok pobrzeża za Zatoką Wenedzką“. Zatoka Wenedzka, zdaniem uczonych — czeskiego, Lubora Niederlego i naszego Rudnickiego — to Zatoka Gdańska. W średniowieczu Niemcy nazywali Słowian Wenedami, dziś jeszcze określają tym mianem (Wenden, Winden) Serbów Łużyckich i Słoweńców, Finowie Rosjan (Venäjä; Venät). Liczne ślady tej nazwy przechowały się w miejscowościach między Łabą a Odłą.

W II w. po Chr. przybyli na Pomorze Goci ze Skandynawii, jako jedna z fal germańskich. Po krótkim pobycie na Pomorzu (bo już w końcu II w.) wywedrowali oni na południowy wschód. Ludność miejscowa nie dała im się wynarodowić ani też wyprzeć z rodzimnej ziemi.

Ten krótki pobyt Gotów wystarcza niektórym, tendencyjnym uczonym niemieckim, by uważać te ziemie za „praniemieckie“ („Ur-

deutsch“), a Hitlerowi do nadania Gdyni, po wrześniu 1939 r., nazwy „Gotenhafen“.

W wieku VI pisarz gocki, Jordanes, stwierdza w swej kronice, że „liczny naród Wenedów“ zajmuje wielkie przestrzenie na północ od źródeł Wisły aż po jej ujście.

W wieku VIII w. t. „Rocznikach Einharda“ znajdujemy wzmiankę że Weleci czy Wilcy „siedzą nad brzegiem morza“ (Bałtyckiego).

W wieku IX daje nam potrzebne świadectwa żeglarz anglosaski Wulfstan, który „żeglując nieustannie w ciągu 7 dni i nocy od Haedum (Szlezwik) aż do Truso (okolice Elbląga) miał ciągle kraj Wenedów na prawo“.

Wreszcie za pierwszych Piastów (Mieszka I-go; Bolesława Chrobrego i Bolesława III — Krzywoustego) w okresie od IX do XII w., Pomorze staje się jedną z dzielnic Polski, nawróconą ostatecznie na chrześcijaństwo za sprawą Bolesława III.

Tu musimy zaznaczyć na marginesie, że niemieckie pretensje, jakoby jedynym czynnikiem kultury na Pomorzu byli Niemcy, jest kłamstwem.

Chrześcijaństwo i związana z nim kultura, materialną i duchową wprowadzili na Pomorze Polacy i to bez przelewu krwi, inaczej niż np. Zakon Krzyżacki w Prusach „ogniem i mieczem“ nawracający.

Osuszać bagna i zalewy wiślانة i Żuławy uczyli się Niemcy od mistrzów w tym względzie, Holendrów, których sprowadzili w XVI w. królowie polscy i którzy wykonali tu najważniejsze roboty, nim Fryderyk II zagrabił ten kraj przez I-wszy rozbiór Polski.

Skutkiem podziału państwa na dzielnice przez Bolesława III i tym samym osłabienie jego mocy militarnej, Niemcy zdobywają namaszczone Pomorze Szczecińskie. Krzyżacy znów, sprowadzeni przez dzielnicowego księcia Konrada Mazowieckiego do nawracania pogańskich Prusów, usadawiają się na ich ziemiach — bez-

prawnie, a w 1308 r. zajmują polski Gdańsk (urządziwszy tu zaraz rzeź ludności kaszubskiej, aby dać miejsce Niemcom; podobnie zrobił Hitler na przykład w Bydgoszcy we wrześniu 1939 roku). Król Łokietek tworzący dopiero jednolite państwo po upadku dzielnicowym, nie miał dość sił, by ode-

ono militarnie i finansowo z Polską przeciw Krzyżakom.

Odłą Pomorze Gdańskie (tzw. „Prusy Królewskie“) należy już stale do Polski, aż do I-go rozbioru w roku 1772, jako jedna z najbardziej polskich dzielnic.

Sławna była piechota kaszubska, złożona ze szlachty zaścian-

Mimo 150-letniego ucisku germanizacyjnego, od Fryderyka II do Hitlera Kaszubi zachowali swą narodowość, wiarę i język. „Gbur to mur“ — mówi przysłówie kaszubskie i o tego polskiego gburą rozbił się atak germański.

Gdy delegat kaszubski na Konferencję pokojową w Paryżu w r. 1919, Antoni Abraham przed Wilsonem, Clemenceau i Lloydem George'em oświadcza kategorycznie, że „Pomorza nam ani sam diabeł nie odbierze“, to wyraża on tym niezłomną wolę całej ludności kaszubskiej należącej do Polski.

Ale obok naszej legitymacji etnicznej i historyczno-kulturalnej do posiadania Pomorza od Odry do Wisły, konieczność państwowa, racja stanu, wymaga od nas posiadania brzegu morskiego, na całej długości Pomorza. Dzisiejsze państwo polskie leżące w dorzeczu Odry i Wisły musi mieć w posiadaniu i ujściu tych rzek, Szczecin i Gdańsk.

Dla Niemców Pomorze stanowiło teren ekspansji politycznej na wschód, a dla nas to polityczne „być, albo nie być“, kwestia życia lub śmierci.

Niemcy emigrowali masowo ze wschodnich części państwa do miast na Zachód. Pomorze posiadało dzięki temu dwa razy mniejszą gęstość zaludnienia na 1 km.<sup>2</sup> niż środkowe i południowe województwa polskie. (Średnio — 45 do 55 mieszk. na 1 km.<sup>2</sup>). Pomorze nie było atrakcyjne i konieczne do bytu politycznego Niemiec, a jedynie jako bastion militarny dla wypadów na Wschód.

Wielkie majątki ziemskie pomorskich junkrów od drugiej połowy XIX w. aż do ostatnich czasów uprawiali chłopcy polscy, wychodzący sezonowo z Polski środkowej (tzw. „obieyzasi“). Polskie ręce więc uprawiały ziemię pomorską. Komuż więc potrzebniejsze jest Pomorze gospodarcze i ludnościowe, Polsce, czy Niemcom? Dla nas odpowiedź jest jasna.

Aleksander Łykowski.



W 1945 roku objęliśmy morze w wieczyste posiadanie. Oto moment z historycznej chwili, gdy żołnierze odrodzonego Wojska Polskiego salutują sztandar biało-amarantowy w Bałtyku.

brać zaborcy Pomorze i Gdańsk. Nie pomogło sprawie zwycięstwo Grunwaldzkie w 1410 r. za Jagiellów, bo Ks. Witold z Litwinami i Rusią nie chciał wyrwać, aż do upadku Malborka (ostatniego gniazda oporu rozbitego Krzyżactwa) walczyły przy boku wojsk polskich. Dzięki temu „Grunwald“ nie zwrócił nam Pomorza. Pomorze wraca dopiero do Polski w roku 1466, po wojnie 13-toletniej z Zakonem, w której współdziałało

która walczyła pod hetmanem St. Koniecpolskim ze Szwedami za Zygmunta III.

Szczególnie wsławił się Kaszubi za ulubionego swego króla Jana III, walcząc mężnie pod Wiedniem w roku 1683. Kaszubi, co obok husarii, pancernej jazdy polskiej, zdecydowali o zwycięstwie, broniąc Cesarstwa Niemieckiego i Europy przed barbarzyństwem tureckim. O tym Niemcy naogół nie pamiętają wcale.

## Rozmowy z własną młodocianością

Droga bez drogowskazów.

Rok 1939 miał może większe znaczenie, niż to obecnie wyznacza nam historia. Był to okres przelomu nie tylko takich czy innych światopoglądów, nie tylko takich czy innych koncepcji politycznych i gospodarczych. Był to rok wielkiej przemiany psychicznej narodu. Znaleźliśmy się nagle i niespodziewanie na niebezpiecznym zakręcie dziejowym, zupełnie do tego nieprzygotowani, zupełnie zdezorientowani i przez to tembardziej wystawieni na bolesną naukę, jaką przyniosła ze sobą największa w dziejach świata wojna. Młode pokolenie Polski przedwrześniowej błąkało się zupełnie samopas w ciasnym labiryncie ideowym, dawało się powodować łatwo wygodnym prowodyrom i agentom, którym taki czy inny krok był w danej chwili na rękę. Szkoła nie dawała wiedzy wyrobienia politycznego lub życiowego. Wyśmiewana początkowo reforma szkolnictwa starała się młodzież przystosować do ciężkiego bytu po opuszczeniu zasłaniających rzeczywistość murów szkolnych, mimo tego kierunek ogólny pozostał ten sam: idealizacja romantycznej przeszłości, unikanie racjonalizmu dnia codziennego, zamknięcie się w wytartych szablonach racjonalizmu. Wynik: swoboda życia akademickiego zalewała, jak ocean, chłwi i spragnione życia serca i głowy, imponowała polityczna nonszalanca i wieczny opozycjonizm. Było to świadome czy podświadome (zależnie od postaci producenta czy odbiorcy) kulturowanie najgorszych wad narodowych, jakie otrzymaliśmy w spadku po naszych dziadkach, tworzenie z nich nimbu samodzielności i wielkości dziejowej. Sarmatyzm w najgorszych przejawach stał się programem politycznym. Konse-

kwentnie w ślad za takim sposobem działania i oddziaływania na młodzież, o ile to wogóle metodą można było nazwać, postępowały głębsze aspekty, nie narzucające się bezpośrednio, wynikające jednak przy pewnym spojrzeniu perspektywicznym na całość sytuacji. Aspektem tym było przemilczanie tego, co nasz naród w czasie historii stracił, świadome wypuklenie tego, co może zyskać w innych warunkach. Wschód necił romantyzmem, Zachód wiał chłodem cyfr i zwodniczym blaskiem sztucznej przyjaźni polsko-niemieckiej. Blichtr faszyzmu nęcący jest na pierwszy rzut oka, kiedy się nie wlepi jego zbrodniczej istoty i treści. Nic dziwnego: był to przecież okres, kiedy Goering polował w Białowieży, a Hitler klepał protekcjonalnie po ramieniu członków ambasady polskiej w Berlinie. Czy młodzież polska miała możliwość wyboru światopoglądów wobec faszystowskich pokrzykiwań Becka lub Rydza? Czy ktoś wskazywał jej inną drogę, ktoś, któryby mógł jej zaimponować i porwać ku swoim celom i ideałom. O koncepcji zachodniej było jeszcze wtedy głucho. Zachód był niepopularny, a zresztą urzędowo zakazany. Polska wołała o kolonie, nie widząc, jak jej sprzed nosa kradną Gdańsk. Polska czyniła zjady wychodźstwa, nie zastanawiając się, że przecież z polskich ziem ci „wychodźcy“ przybywają. Kiedy otworzyły się oczy, kiedy przestano oglądać obrazki, a zapoznano się bliżej z kapitalnymi publikacjami Kisielewskiego czy Wańkowicza — było już za późno. Hitler ochrypił głosem błogosławił swoje szeregi, marszerujące na Warszawę...

Polska natchnieniem narodów.

I oto rozpoczęła się wojna od wyjątkowych syren alarmowych po dymy kre-

matorów, od heroitragedii Westerplatte po wybuchające sidolówki Warszawy. Młodzież polska przejrzała, ale rozbudzenie było za szybkie i za mocne. Uczyły ją wielkiej prawdy życia lasy lubelszczyzny, kraty Pawiaka czy Monteluppiach, twarde dni konspiracji i przytłumione szepty tajnych uczelni. W pierwszych latach wojny obok zdecydowanej i bezkompromisowej woli walki na śmierć i życie, walki o swoją Polskę i o swoją młodzież panował brak wszelkiego planu. Organizacje podziemne rodziły się i wpadały, jak parodniowe efemerydy. Skazańczy wolał: niech żyje Polska! nie wiedząc, jaka Polska ma być i za jaką właściwie ginąć. Spotęgowany do maksimum napięcia patriotyzm wyładowywał się w szalonych porywach, będących aktami nie mającej precedensu odwagi i bohaterstwa. Świat z zapartym oddechem śledził konwulsje spętanej, śmiertelnie rannej, ale nigdy nie schabionej i nie umarłej pierwszej ofiary hitleryzmu. Dzięki młodzieży stawali się natchnieniem narodów. Pamiętam, gdy w jakiś wieczór grudnia pierwszego roku wojny stryj mój, wysłużony wojskowy, na moją odpowiedź, że wychodzę na brzdą zapalał świętym oburzeniem i obrzucił stekiem obelg młode pokolenie, które w taki sposób myśli o zabawach i kartach. Na to ja zarzuciłem stryjowi, że trawi czas przy kawie w kawiarni, zamiast użytkować swoje cenne wiadomości. Okazało się później, że ani ja nie szedłem na brzdą, aby grać w karty, ani stryj nie szedł do kawiarni, aby plotkować przy czarnej. Stryj zginął w tajemniczy sposób z rąk okupanta, ja zostałem, by pomścić jego śmierć. Oba pokolenia spotkały się w Podziemiach i oba na swój sposób starały się kon-

tinuować tragicznie przerwana walkę z września 1939 roku.

„Ginęliśmy za Szczecin i Wrocław.“

Z upływem lat, na skutek zamknięcia szkół przez okupanta zaznaczył się kolosalny głód wiedzy. Nigdy chyba żaden naród nie miał tylu samouków i nigdy nie dysponował taką ilością szkół nielegalnych, jak naród polski. Akcja zakrojona była przy tym na szeroką i imponującą skalę. Poprzez wszystkie szczeble szkolnictwa otworzyła się możliwość kontynuowania studiów dzięki solidarności całego narodu i cichemu bohaterstwu nauczycieli i profesorów. W tym też czasie bezplanowa walka pierwszych lat zamieniła się coraz bardziej w skoordynowaną, planową akcję o szeroko rozbudowanym schemacie organizacyjnym. Wyrastały nowe koncepcje. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów padło słowo: Odra i Nisa...

Otworzyły się nowe horyzonty przed oczyma młodego pokolenia Polski. Wobec coraz widoczniejszej klęski Niemiec polska historia, polska geografia i ekonomia zaczęła coraz bardziej zwracać uwagę na Ziemię Odzyskaną, wysuwając szereg nęcących koncepcji. Już w tym czasie ginieliśmy za Szczecin i Wrocław, bo w wolność Warszawy i Krakowa nigdy nie przestaliśmy wierzyć. Giniąc — to jednak najłatwiejsza rzecz, to ofiara, którą niestety Polacy szafują najhojniej i dla swego i dla cudzego dobra. Trzeba było przez zespolenie wszystkich zagadnień, przez otworzenie nowych problemów demograficznych, strategicznych, a przede wszystkim emocjonalnych stworzyć z imienia Odry i Nisy symptomat przyszłej wielkości Polski, symbol Jej prężności i mocy, trzeba było z tego już wyraźnego dziejowego kierunku uczynić rzecz abstrakcyjną przez zacięcie psychikę milionów ludzi z toru na tor, wykreślić dążenia wieków i pokoleń i zastąpić je nowymi, bardziej nęcącymi i kon-

kretnymi wizjami. Trzeba było zabić mit prawdą, poezję cyfrą, sentyment nową poezją. Trzeba było racjonalizować i zidealizować zarazem Ziemię Odzyskaną. Pierwsi pionierzy tej koncepcji zyskali miano maniaków, ale rychło przestano ją lekceważyć. Historia wojny zmierzała wielkimi krokami do realizacji zachodniego problemu.

Nieomylnie do wielkości Ojczyzny...

Po pierwszych oszolomieniach, błędach i koniecznych rozczarowaniach powojennych Ziemię Odzyskaną stały się i stają z dnia na dzień coraz bardziej ziemią własną. Lata przykrywiają ich świeżość patyną tradycji i szarym dniami codziennego. Historia tworzy z nich znajomą wszystkim nierozzerwalną część Polski. Ziemię Zachodnią stają się niepostrzeżenie programem nauczania nowego pokolenia, pokolenia powojennego, jako symbol dobrobytu, ładu i potęgi naszej Ojczyzny. Nie płaska frazeologia, ale konkretne plany i obliczenia, konkretne schematy i koncepcje wcielane natychmiast w życie tworzą z Ziemię Odzyskaną odżywczy zastrzyk, błogosławiony w dobie powojennego znużenia i zubożenia. Piękno i bogactwo Ziemi Odzyskaną nie tylko poczłaga i każe jej kochać, nie tylko rozparła w młodych żyłach tak potrzebny i tak zgodny z naszą naturą romantyzm, ale skierowując oczy i myśli na Zachód wytycza nowe drogi rozwoju, wiąże nowe aliance, ostrzega przed nowym niebezpieczeństwem. Ziemię Odzyskaną dają ogromne możliwości pracy i rozwoju dla młodych i energicznych. Stają się twardą szkołą życia, nie tego, obliczonego na papuzi skrzekot na modłę zagranicy, nie tego, obliczonego na bezimienną walkę o bezimienną wolność, ale tego, które niesie z sobą prawdziwe szczęście. Młode pokolenie, dziesiątkowane straszliwie przez wojnę, znalazło drogę, która wiedzie nieomylnie do wielkości Ojczyzny.

Leszek Goffiński

# Przed Pomorzem wielka przyszłość

Rozmowa z wicewojewodą ob. A. Jakubowiczem

Mimo olbrzymiej kolejki interesów w sekretariacie wicewojewody pomorskiego, spowodowanej urlopem wojewody Wojciecha Wojewody, postanowiłem wykorzystać pobyt w Bydgoszczy, aby dowiedzieć się o aktualnych sprawach Pomorza.

Wicewojewoda A. Jakubowicz chętnie udziela mi wyjaśnień:

Województwo pomorskie posiada w zasadzie charakter rolniczy; w jego to bowiem granicach znalazły się obecnie całe Kujawy oraz urodzajna Ziemia Chełmińska. W związku z tym rozwijał się przemysł przetwórczy. Tutaj znajdują się potężne młyny (Przechowa) oraz słynne cukrownie, które tu mają największe nasilenie ilości-

we i przetwórcze. Istnieją również liczne gorzelnie i płatkarnie. Nic dziwnego, że handel zbożem, który reprezentuje głównie Państwowa Centrala Handlowa i „Społem”, jest bardzo ożywiony.

— A jak przedstawia się akcja żniwna w województwie?

— Z wyjątkiem powiatu Świecie — dobrze. Zboża nie ma już u nas na polu, co zauważyłem jeszcze przejeżdżając przez województwo poznańskie. A u nas już mamy podorywki. W związku z tym chciałbym zaznaczyć, że obecny stan pogłowia koni wynosi 60% stanu przedwojennego. — Dostawy UNRRA wyniosły 2.047 koni, z czego 600 oddano majątkom państwowym. UNRRA dostarczyła też na-

szemu województwu 400 jałowic. Mówiąc nadal o rolnictwie stwierdzam, że głód ziemi został u nas kompletnie zaspokojony. Parcelacji uległo 30% obiektów, reszta zaś — to ośrodki rolne.

— Tak duży procent ośrodków? — zapytuję ze zdziwieniem.

— Tak proszę Pana, bo trzeba wiedzieć, że tu na Pomorzu Niemcy stosowali zupełnie inną politykę gospodarczą, aniżeli gdzie indziej na ziemiach polskich. Przeważę niemieckiej posiadłości rolnej na Pomorzu stanowiły gospodarstwa średniej wielkości. W ten sposób Niemcy skutecznie kolonizowali te tereny, gdyż ściągali więcej elementu ludzkiego, co miało pomóc w zgermanizowaniu Pomorza. O-

becnie na gospodarstwach tych przebywają repatrianci.

Wicewojewoda Jakubowicz zbliża się z kolei do mapy i mówi dalej, wskazując na okolice Tucholi.

— Posiadamy duże lasy w okolicach Tucholi (tzw. Puszcza Tucholska lub Bory Tucholskie) oraz w pobliżu Bydgoszczy. Największymi ośrodkami przemysłu drzewnego są miejscowości: Solec Kujawski, Brzoza, Czersk, Nowe Chojnice i Chełmża.

Ponieważ przechodzimy już do sprawy przemysłu, zapytuję o inne gałęzie tej dziedziny gospodarki narodowej.

— Przemysł ciężki, galanteria żelazna i przemysł tekstylny koncentrują się w trzech zasadniczych

ośrodkach: w Bydgoszczy, Grudziądzu i Toruniu. Ogółem mamy 86 większych zakładów przemysłowych. Wymienię tylko z nich czynne zakłady Herzfelda, Ventzkiego i PePeGe. Do rozwoju przemysłu przyczynia się elektryfikacja, w której produkujemy, posiadając największe zakłady energetyczne w Polsce: Gródek i Żur. To daje gwarancję rozwoju przemysłu. Już dzisiaj bydgoskie warsztaty kolejowe mogą poszczycić się dobrymi wynikami: 10.000 naprawionych wagonów, 300 lokomotyw, 5.000 pracowników — oto cyfry, które mają swoją wymowę. Ale to dopiero wstęp do tego, co nastąpi, bo według planów rządowych w okolicach Bydgoszczy w najbliższych trzech latach utworzy się wielki ośrodek przemysłowy, drugi po Śląsku. Będzie to przemysł przetwórczy, oparty na surowcach przywożonych drogą lądową i wodną.

— A jak przedstawia się komunikacja rzeczna województwa?

— Urządzenia portowe nie odniosły wielkich zniszczeń. Tabor posiada prawie stan przedwojenny tak co do ilości jednostek, jak i tonażu.

— Tu — zdaje się — leży przyszłość województwa — wtrącam.

— Tak. Z jednej strony Wisła, z drugiej Odra, a my wiążemy te najważniejsze drogi wodne. My łączymy Polskę centralną z odzyskanym Pomorzem Zachodnim, z województwem olsztyńskim, z Gdańskiem, my jesteśmy zapleczem polskiego Wybrzeża. Niemców mamy jeszcze 24.000, z tego jednak 10.000 w obozach pracy w Potulicach i innych odbudowuje to, co przez nich zostało zniszczone. Sprawa tzw. eingedeutschów już załatwiona. — Bezpieczeństwo dobre. Nie pozostaje nam nic innego, jak pracować. Związani silnie z Ziemią Odzyskaną, które częściowo żyjemy nadwyżką naszych zbiorów, trwając na najlepszym szlaku handlowym idziemy ku nowej przyszłości Pomorza w Nowej Polsce.

Rozmowa skończona. Pozostaje tylko życzyć, aby wielkie plany jednego z bogatszych województw Polski zrealizowały się dla dobra całej Polski. **Tadeusz Jankowski**

## AMBITNE MIASTO

600-lecie Bydgoszczy w relacji Prezydium Miasta

Oglądając Bydgoszcz pierwszy raz po wojnie mimo woli porównuję ją z Poznaniem, Wrocławiem i Warszawą.

— Szczęśliwe miasto! Wojna zaczęła się tu bardzo źle, bo pamiętnymi ekscesami volksdeutscheów i rzezią ludności polskiej, zakończyła się zaś lepiej, aniżeli gdzie indziej.

— Tak. Zniszczenia naszego miasta wynoszą tylko 3,45% — mówi wiceprezydent Styczeń. — Wśród zniszczeń wymienić należy 4 mosty, z których dwa są już odbudowane a jeden w stadium odbudowy. Uszkodzeniom uległa rzeźnia, gazownia i szereg innych ważnych dla miasta obiektów. Ale odbudowa postępuje. Niektóre instytucje nabywają wypalone nieruchomości i budują na tym miejscu własne gmachy. W ten sposób powstają zabudowania PKO. Duże znaczenie dla odbudowy ma inicjatywa prywatna. I tak, dla przykładu, Związek Kupców związał spółkę, która odbudowuje Bazar. Jedną z największych naszych strat jest zniszczenie teatru.

Dalszych szczegółów dowiadujemy się od ob. Józefa Twardzickiego, prezydenta miasta Bydgoszczy. — Nieruchomości zniszczonych jest wprawdzie mało, lecz dewastacyjna gospodarka okupanta spowodowała wielkie straty, czego skutki będziemy oglądać jeszcze przez dłuższy czas. W ciągu minionego roku dokonaliśmy już wiele, lecz wiele pracy nas jeszcze czeka.

— Bydgoszcz żyje pod wrażeniem 600-lecia miasta i Pomorskiej Wystawy Przemysłu, Rzemiosła i Handlu. Może Pan Prezydent jako przewodniczący Komitetu Wystawy a przede wszystkim głowa miasta przedstawi znaczenie tych dwu wydarzeń dla Bydgoszczy, Pomorza i Polski.

— W związku z obchodem 600-lecia Komitet postanowił uczcić jubileusz nie tym, że zbudowany będzie pomnik królowi Kazimierzowi Wielkiemu lub że zostanie wmurow-

wana tablica, lecz Komitet postanowił w tym okresie uporządkować miasto oraz wykazać, jaka jest jego dynamika gospodarcza. Wobec tego postanowiono wykorzystać jubileusz w ten sposób, aby w pierwszej linii uporządkować zewnętrzny widok miasta, pobudzić ambicje mieszkańców, aby doprowadzili do porządku swoje sklepy, mieszkania, wprawili szyby itp. Poza tym miasto zajęło się specjalnie ogrodami i uzyskało od rządu fundusze na te prace, na usunięcie gruzów, na odbudowę mostów i uporządkowanie ulic. Jednocześnie Komitet postanowił stworzyć wystawę, aby przedstawić, co polski robotnik, inteligent i rzemieślnik w ciągu roku od uzyskania wyzwolenia potrafił dokonać w odbudowie państwa. To nie znaczy, że Bydgoszcz zaniechała pracy na odcinku naukowym i kulturalnym. Nie mamy wprawdzie uczelni wyższej w Bydgoszczy, powstały jednak dwa instytuty o charakterze naukowo-badawczym, to jest: Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego oraz Instytut Weterynaryjny; istnieją towarzystwa naukowe, powstał Dom Kultury, mamy wystawę plastyków a w przyszłym roku i na odcinku teatralnym wyrównamy istniejące jeszcze braki. Bydgoszcz może poszczycić się swą Orkiestrą Symfoniczną, liczącą aż 54 członków. — Muzeum jest czynne, dużo jednak wartościowych eksponatów rozgrabili Niemcy. Wracając jeszcze do spraw uczelni, chciałbym nadmienić, że projektuje się stworzenie w Bydgoszczy jako w najważniejszym ośrodku naszych dróg rzecznych szkołę żegluga śródlądowej.

— Dlaczego właśnie w Bydgoszczy zorganizowano pierwszą powojenną wystawę gospodarczą?

— Sprawa zorganizowania wystawy w Bydgoszczy jest skutkiem inicjatywy rzemiosła, a mianowicie wiceprezesa Izby Rzemieślniczej ob. Fiolki, który na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w dniu

31 sierpnia 1945 r. taką inicjatywę podjął.

Dalsze sprawy już opracował Komitet 600-lecia, jaki się ukonstytuował w październiku 1945 r. Wystawa ta ściśle związała się z 600-leciem. Z drugiej strony Bydgoszcz jest miastem wojewódzkim, jednym z największych ośrodków przemysłu i dlatego Bydgoszcz miała wszelkie warunki ku temu, że mogła tego rodzaju wystawę zorganizować.

— Czy wystawa bydgoska spełniła zamierzenia organizatorów?

— Wystawa bydgoska bezwzględnie spełniła swoje zadanie i jest doskonałym obrazem naszej produkcji i tempa życia gospodarczego i tym samym jest dowodem, że utrwalają się nasze zdobycze socjalne i polityczne.

Przyznam się otwarcie, że pod tym względem wystawa przeszła nasze najśmielsze oczekiwania i muszę powiedzieć, że zarówno organizatorzy jak wykonawcy oraz pracownicy wystawy i rzemieślnicy, robotnicy i inteligenci, którzy brali udział w budowie wystawy, pracowali z pełnym entuzjazmem. Specjalnie charakterystyczne pod tym względem są końcowe dni, gdyż pracowali oni dniami i nocami, aby móc pokazać społeczeństwu polskiemu nasze osiągnięcia i dokonania. Rozumiem dobrze, że wystawa nasza nie jest tak wielka, jak zorganizowana w swoim czasie P. W. K., ale nie wątpię, że w dobrej obecnej znaczenie naszej wystawy jest mało mniejsze od P. W. K-i, gdyż skromniej, ale równie dobitnie stwierdza ona, co w tak krótkim przeciągu czasu polski robotnik i rzemieślnik potrafił odbudować w państwie. Uważam, że następną wystawą, jaką należy najszybciej zorganizować, a co zostało zupełnie pominięte przy organizacji wystawy obecnej, będzie wystawa charakteryzująca rozwój i zamierzenia naszej żegluga śródlądowej.

— Pozwoli Pan, Panie Prezydencie, zadać sobie jeszcze jedno pytanie: — W jaki sposób miasto daje sobie radę z powszechnymi dzisiaj trudnościami, to jest — z aprowizacją i brakiem mieszkań?

— Jeżeli chodzi o mieszkania w Bydgoszczy, to jest ich jednak brak mimo stosunkowo małego zniszczenia miasta. Wynika to z tego, że przybyło tu wiele osób z zniszczonej Warszawy i repatriantów zza Buga. Przeludnienie Bydgoszczy spowodowało korporacje miejskie do powzięcia uchwały, aby nie dawać zezwoleń na osiedlanie się w mieście jednostek, które nie są konieczne dla normalnego życia Bydgoszczy. Jeśli chodzi o aprowizację — to nie jest ona najgorsza i są widoki dalszej jej poprawy, a to przede wszystkim przez wygranie wojny z cenami. Wygramy ją przez ustalenie cen na artykuły pierwszej potrzeby.

I tak Bydgoszcz, miasto, które w nowym układzie granic polskich zajmuje centralne położenie i weszło do liczby większych miast Polski, ma ambicję wybicia się. Na szlaku Odra — Wisła — Bałtyk „Bidgostia nobis sincere dilecta”.

## Nie ma pokrzywy nad Brdą

Refleksje z wędrowki po Bydgoszczy

Bydgoszcz czasów wojny wpoila się w pamięć reszty Polski jako miasto, które przeżyło straszną tragedię września 1939 r., gdy ze zborów ewangelickich gołrwi „wyznawcy” zaczęli przemawiać do bezbronnej ludności polskiej ogniem karabinów maszynowych a w 2 dni później apostołowie „nowego ładu” masowo rozstrzelali ludność polską. Za co? Za to, że była polską, uparcie i stanowczo polską na ziemiach, które przecież miały być „urdeutsch”. Dzisiaj — normalnym biegiem życia — bohaterska postawa Bydgoszczy zaciera się i przetwarza w nowe pojęcie miasta nad Brdą: wyraza miasto pracy, miasto fabryk i statków rzecznych, miasto, które nie zna już Niemców swobodnie spacerujących i szwargoczących butnie w polskim mieście Bydgoszczy.

Wystawa Pomorska w Bydgoszczy jest piękna. Może nie pięknie pachnie zielsko w nieoczyszczonym basenie na terenie wystawowym, może nie jest informatorem „Informator po wystawie”, ale wystawa jest piękna. A co w niej najpiękniejszego? — Dwie rzeczy: Najpiękniejszy jest pawilon obozów pracy dla Niemców. Mistrzynie prace stolarskie, koszykarskie, leżarskie, siodlarskie, odlewy żelazne, wyroby dziane, samodziwały, nawet rzeźby i portrety polskich osobistości urzędowych — wykonują Niemki i Niemcy. Wykonują wzorowo. Odbudowują Polskę. Szkoła, że jest to tylko przykładowy i mały odcinek zagadnienia niemieckiego. Trzeba by go odwzorować i rozszerzyć na całą Polskę, póki jest jeszcze u nas nieco Niemców.

Wystawa jest „pomorska”, lecz przybyli również wystawcy i z innych stron Polski. Z prawdziwym zadowo-

leniem ogląda się produkcję odlewni żelaza i fabryk maszyn na Ziemiach Odzyskanych. Nie spodziewałem się, że Polska ma taką siłę żywotną, aby tak się odbudować i tak się zaprezentować po blisko 6 latach strasznej okupacji.

Jakież zadowolenie ogarnąć by nas mogło, gdybyśmy mogli pokazać to tym, którzy — jak mówił Eugeniusz Małaczewski — „siedzą w stosach złupionych z bliźniego banknotów i w przyszłość Polski nie wierzą”.

Patrząc na Warszawę i Wrocław oraz na Bydgoszcz trzeba powiedzieć, że ruiny stolicy Pomorza nikną w szybkim tempie. Odbudowa jest czynem a nie tylko programem, zamierzaniem, planem. Gdy nie ma ruin — to nie ma i brudów. Szyby w warszawskich tramwajach są brudne. Tramwaje zaśmiecone, konduktorzy w dużej części mają zaniedbany wygląd. Bydgoszcz jest młodym miastem wśród większych miast polskich, mimo, że obchodzi 600-lecie istnienia. Tramwajami kierują młodzi ludzie z ambicją i „fasonem”. W mieście nie widać rozrzuconych papierów, ani różnych odpadków. Czystość to najpiękniejsza szata Bydgoszczy.

Światło dnia gaśnie. Na ulicach palą się liczne latarnie. Najpiękniejsze zabytki miasta z kościołem Klarysek są iluminowane. Snop światła reflektora pada na zieleń bulwaru nabrzeżnego i wody Kanału Bydgoskiego. Nieco dalej widać iluminowany napis, który głosi, że „tędy droga do morza”. Przyjemny jest spacer nad Brdą. Trudno tu dostrzec pokrzywy. Największe chyba z nich — to radiowe „Pokrzywy nad Brdą”. **Jan**

### ZAKŁAD WULKANIZACYJNY

POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM  
BYDGOSZCZ, UL. TORUŃSKA 8 - TELEFON 33-48

Zakup kauczuku wszelkiego rodzaju  
Reperacje wszelkiego rodzaju  
części gumowych, opon samochodowych  
Wykonanie fachowe, szybko i tanie

W przygotowaniu produkcja części samochodowych  
oliwnoodpornych, tłoczki do pomp, kół i hamulcy

# DZIAŁ KULTURALNO-LITERACKI

pod redakcją Eugeniusza Paukszy

## REFLEKSJE

Nawet nasz własny sceptycyzm, nie tylko opinie zagranicy, miniony rok przekonać musiał o jednym — naród polski znalazł w sobie tyle przężności, potrafił wyrzeszać z siebie taką masę dynamizmu, że dokonaliśmy dzieła, przekraczającego zdawałoby się nasze możliwości realizacyjne, szczególnie po olbrzymim ubytku biologicznym i wyczerpaniu nerwowym spowodowanych okresem okupacji, — podłożyliśmy zasadniczy, trwały fundament pod dzieło pełnegołączenia Nadodrza w organizm macierzysty polski.

Dzieło to, rzecz jasna, przy z konieczności częstokroć stosowanym systemie improwizacji i prowizorium nie dokonywało się bez poważnych nawet błędów, ryzykownych pociągnięć, błędnych rozgrywek taktycznych. Było ich jednak mniej, niż najprostsza zdawałoby się logika kazała przypuszczać. Jeszcze jeden to dowód siły życiowej i zdrowego instynktu narodu.

Jednym z głównych błędów w koncepcji pełnej repolonizacji Ziemi Odrzańskich było zapoznanie istoty zagadnienia kulturalnego. O ile np. w dziedzinie gospodarczej zrobiliśmy rzeczywiście b. dużo, o tyle kwestie kulturalne, przynajmniej do niedawna, traktowane były po macoszemu. Negacja założenia, że zagadnienie kulturalne iść winno rozwojowo równoległe z zagadnieniami ekonomicznymi, politycznymi czy społecznymi, okazała się fałszywą.

Skutki tego odczuwamy dziś wyraźnie przy obserwacji życia polskiego Zachodu. Uderza fakt jeden znamieny — ludziom osiadłym na Ziemiach Odrzańskich brak jest odnośnie do tych ziem stosunku emocjonalnego. A trzeba się zgodzić, że tylko zimna kalkulacja, rozumowe wyrachowanie, w pełni procesu repolonizacji nie zrealizują. Czynniki emocjonalne, aspekt uczuciowy w procesie tym musi być równoległe brany pod uwagę. Musi być nawiązana przerwana nić tradycji historycznej polskości tych ziem,

musi je łączyć z nowymi mieszkańcami głęboki patriotyzm lokalny, musi rozbudzić się zrozumienie istoty naszego powrotu na piastowskie dziedziny.

Ten aspekt uczuciowy rozbudzić może jedynie odpowiednio postawiona praca kulturalna. Rozbudzić mogą naukowcy, dziennikarze, arty-

nowo rozbudowywać szkolnictwo, uruchamiać pracę informacyjno-sprawozdawczą, otwierać teatry i świetlice, to nie można narzucać tematu ani artystom-malarzom ani pisarzom. Talent może sprawić, że nawet i w tym wypadku będzie dzieło to nieprzeciętne, ale nie dorówna ono nigdy tworzyw, wyszłe-

Stosunek pisarza do tematu najlepiej wyczuwa szary konsument tworzywa artystycznego. Rzecz o poważnych usterkach literackich, ale pisana pod wpływem emocji bezpośredniością odczucia swego trafia do odbiorcy, wywołując pożądany efekt, gdy na odwrót — utwór skończenie nawet doskonały artystycznie, ale pisany bez stosunku emocjonalnego, bez podniety wewnętrznej, nie znajdzie oddźwięku. Przypomina mi się sztuka Żurawka — „Biskup Nanker“, wystawiona na Dni Kultury przez teatr wrocławski. Wiele można by jej zarzucić i pod względem literackim i wierności historycznej. Ale pisana pod wpływem głębokiego ukochania polskiej przeszłości Wrocławia, przeżyta przez wyobraźnię autora — spotykała się z naprawdę spontaniczną reakcją widowni.

Albo drogą porównania. Słaba artystycznie, debiutanka sztuka Peplowskiego — „Droga do świtu“, i pisany z dużą kulturą literacką, o wiele lepiej wykonany — „Zamach“. Pierwszą z tych sztuk widownia przeżywa, płacząc i śmiejąc się razem z bohaterami. „Zamach“ publiczność tylko bawi, ale nie wywołuje przeżyć wewnętrznych. Przyczyna — Peplowski pisał z pełnią bezpośredniości odczucia, Breza i Dygat zgrzeszyli wyrażaniem artystycznym, mniejszym napięciem stosunku emocjonalnego do tematu.

Wśród ksiązek i broszur, traktujących o przeszłość ziem polskich nad Odrą i Nisą, ukazało się kilka wartościowych prac. Żadna nie spotkała się z takim entuzjazmem, i — odważy się stwierdzić — nie wydała tak pozytywnych rezultatów w budzeniu stosunku emocjonalnego do Ziemi Odrzańskich — jak broszura Wł. J. Grabskiego — „Polska nad Odrą, Nisą i Pasłęką“. Właśnie dlatego, że pisał ją nie tylko historyk, ale przede wszyst-

kim pisarz, pisarz zakochany w swoim temacie.

I właśnie w tym, w bezpośrednim stosunku uczuciowym do tematu — kryje się tajemnica wpływu artysty czy pisarza na konsumenta swego dzieła. Psychikę człowieka bowiem, a szczególnie Polaka — zawsze łatwiej ukształtuje emocjonalizm, uczucie, niż „mędrca szkiełko i oko“.

Przypadek sprawił, że dział literacko-kulturalny rozpoczynamy z numerem 1-wrzesniowym. Ale przypadek ten ma swoją wymowę. Dzień pierwszy września, to wspomnienie roku 1939, to z kolei nie wspomnień okupacyjnych, to wrzesień — to przestroga na przyszłość, to w jego konsekwencjach dzisiejszych — wytyczna drogi dziejowej narodu polskiego.

Pierwszy wrzesień mieści też w sobie treść założenia, jakie powodują nami przy wprowadzaniu działu literacko-kulturalnego.

Chcemy drogą bezpośredniości odczucia utworu literackiego, będącego wykładnią przeżyć wewnętrznych autora w związku z poruszoną przez ten temat, wywrzeć choć w pewnej mierze wpływ na pogłębianie się stosunku emocjonalnego Polaków do polskiego zachodu.

Drukować będziemy utwory pisarzy i poetów, będących zwolennikami takich czy innych kierunków myślenia, z takich czy innych szkół ideologicznych się wywodzących.

Platforma, która utwory ich połączy i nastawi na jeden ton — będzie wielką, główną ideą, wspólną wszystkim — ideą Polski.

Kierunek rozwojowy tej idei wyraźnie leży na Ziemiach Odrzańskich.

Wskazanie narodowi tego kierunku — to nasz cel i ambicja.

**Z** dobywcze wyprawy Bolesława Krzywoustego na Pomorze przyniosły nam wspaniałą, osobliwą pieśń wojacką. Twardo, władczo dźwięczą w niej akcenty zdobywcze morskie. Pieśń powstała w latach 1105—1107, stanowi więc nieocenioną wartość skarbu narodowy literatury polskiej.

Pieśń zapisana została przez współcześnie żyjącego kronikarza dworu królewskiego Galla. Niestety, Gall kronikę swą pisał w języku łacińskim, na łacinę więc przełożył także i wspomniany utwór.

Tekst polski cytujemy według przekładu kroniki Galla dr. Romana Grodeckiego.

Naszym przodkom wystarczyły ryby słońce i cuchnące  
 My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające.  
 Ojcom naszym wystarczyło jeśli grody dobywali  
 A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali.  
 Nasi ojce na jelenie urządzali polowania  
 A my skarby i potwory łowim skryte w oceanie .

ści i aktorzy, poeci i pisarze. Praca ich nie może opierać się o jakieś z góry wytyczone szablony. Mogą istnieć pewne ogólne normy, ale w ich granicach interpretacja musi być dowolna, bo kultura ograniczeń nie znosi. Sama wytycza swe szlaki i organizuje cele, które przed nią stawia — misja dziejowa Narodu.

Edward Kozikowski w jednym ze swych ostatnich artykułów, na zarzuty, czynione literaturze polskiej, że za mało czerpie do swych prac z problematyki polskiego zachodu, stwierdza, że pisarzom nie można siłą narzucać tematów — Zachód „stanie się tematem piarstwa polskiego, gdy przyjdzie to temu pora, gdy zagadnienie to dojrzeje wszechstronnie, jak płód w łonie matki“.

Stanowisko to jest słuszne. O ile w dziedzinie kulturalnej można pla-

mu pod naciskiem impulsu wewnętrznego, będącemu wyrazem przeżyć duchowych twórcy.

Taki właśnie kontakt bezpośredni twórcy z tematyką Ziemi Odrzańskich poczyna się wytwarzać. Coraz więcej widzimy wartościowych prac z zakresu rzeźby czy plastyki, nie narzuconych artystom od zewnątrz, ale wynikających z odczuć subiektywnych w stosunku do tematu.

Podobnie coraz więcej o Nadodrzu i związanych z nim problemach tak dnia wczorajszego, jak aktualnej teraźniejszości i wizyjnego jutra się pisze. Nieraz jeszcze w pracach tych dźwięczy ton sztuczny, narzucony jak gdyby. Ale i coraz też więcej pojawia się utworów, pisanych spontanicznie, z racji najgłębiej odczutej potrzeby wewnętrznej.

WŁAD. JAN GRABSKI

### „ŁOWY W MIĘDZYRZECZU“

z II tomu „Sagi o Jarlu Broniszu“.

Wkrótce ukaże się na półkach księgarskich II część trylogii Wł. J. Grabskiego „Sagi o Jarlu Broniszu“ — „Śladem Wikingów“. Uzyskaliśmy od autora zezwolenie na druk fragmentu tej powieści w naszym piśmie. Scena polowania królewskiego odbywa się na Ziemiach Odrzańskich, w Międzyrzeczu i nad Odrą.

Królewskie łowy zimowe zapowiedziane były jeszcze przed świętami. Dawno zjeżdżali się na nie do Poznania okoliczni książęta, Piastowicze, wojewodowie, zaproszeni wybrańcy i ci, którzy liczyli na to, że ich także zaproszą. Nie wiadano tylko, kiedy rozpoczyna się i jaką okolicę obrał król tej zimy na z bogacenie mięsiwem i skórą swych składów. Tymczasem Bolesław przygotowywał się do łowów z wielką starannością. Nieraz pouczał swoich, że łowiectwo to nie tylko pożytek dla kuchni i handlu, ale przede wszystkim doskonała zaprawa rycerska dla wojów, dobre ćwiczenie dla wodzów i próba sprawności dla czeladzi. Kto nie umiał w pojedynkę osadzić oszczepem dzika, ustrzelić z łuku żbika, stawić toporem czoła nie - dźwiedziowi, ten nie nadawał się na członka wyborowej drużyny królewskiej. Także wodzowi, który nie zdołał osaczyć sprawnie stada grubego zwierza i ubić z niego choćby co dziesiątą sztukę, szkoda było powierzać dobrowy pułk. Bolesław sam najchętniej dawał dobry przykład, jak należy walczyć, a wazył się przy tym na takie śmiałości, że barzej obawiano się o jego życie w czasie łowów, niż podczas wyprawy wojennej, gdzie bacząc na całość działania nigdy bez potrzeby nie narażał swej osoby.

Tej zimy obiór łowiska miał dla Bolesława szczególne znaczenie. W porozumieniu z biskupem Poznańskim obmyślili, aby nad Odrą, w okolicy Międzyrzecza, założyć w puszczy klasztor dla zakonników, których opat Astryk obiecał wyjednać w Rzymie dla Polski. Biskup Unger,

choć sam pochodził z Niemców, pragnął jak najsukceszniej uniezależnić od ich wpływów swą przybraną ojczyznę słowiańską. Międzyrzecz upatrzył jako najodpowiedniejsze miejsce dla promieniowania chrześcijaństwa polskiego nad Odrą, a siedząc tam benedyktynów italskich pewny był, że nie odmienią oni misji chrześcijańskiej na zaborczą niemiecką, jak to uczynili duchowni magdeburscy.

Bolesław, choć wolałby widzieć eremitów gdzieś koło Krosna, aby bliżej ziemi milskiej, którą, niestety, margraf Ekkehard zagarnął dla siebie, choć należała się obecnie Piastom, jako dziedzictwo małżonki polskiego władcy, Emmildy, jednak zgodził się z biskupem Ungerem to przewidując, że łatwiej będzie wpływać na Milczan od południa, przez Wrocław i Śląsk, niż poprzez moczary i puszcze lubuskie, od północy.

Chcąc przygotować obszar dla eremitów przez wytepienie na nim wilczych gniazd i odwiecznych siedzib dzikiego zwierza, dla przepłoszenia puszczy, obrano tej zimy kraj leżący między Odrą a Obrą, na wielkie łowy królewskie. Załogi grodów: Kostrzyna, Lubuszy, Szydłowa, Krosna i cała stróża nadodrzańska od jesieni przysposabiała się do wyznaczonych zadań. Wnet po świętach rozestano wici, powołujące całą ludność miejscową do Międzyrzecza na służbę królewską. Tam zmierzając, zaraz po Trzech Królach opuściło Poznań z Bolesławem dwustu pięćdziesięciu jego przybocznych rycerzy, i drugie tyle gości, z Ziemiowitem mazowieckim, Prokujem węgierskim i Wiadybojem czeskim na czele. Za myśliwymi ciągnął orszak gospodarzy, pod przewodnictwem Boguszy, prowadząc sto dziesięć wozów naładowanych namiotami i sprzętem łowiackim, sieciami, stępicami, solą, mącznym jadem, nabiałem i różnorakimi napojami dla łowców i służby.

Dwór niewieści tak czule żegnał odjeżdżających, jakby gdzieś na wojenną wyprawę ruszali; zamawianiom, przestrogom i zachętom nie było końca.

Do międzyrzecckiego brodu wszyscy jechali razem, po szerokim, jak stół równy udeptanym śniegu gościńca. Za rzeką dopiero Bolesław rozdzielił drużynę na sześć zespo-

łów, wyznaczając każdemu określony obszar i przydzielając dowódcom zmyślnych przewodników spośród miejscowej ludności.

Oddział księcia biskupa Ungera, składający się z trzydziestu rycerzy, stu czeladzi poznańskiej i gromady trzydziestu głów miejscowych, miał za zadanie obsadzenie zamarynżniętej już Obrzy i przepłoszenie na zachód, co by tam nie umknęło. Bolesław wybrał sobie najbardziej na północ leżący dział pod Kostrzynieciem spodziewając się, że niezamarynżle wody zbiegających się tam rzek: Odry i Warty niby olbrzymia sieć napędzą mu bez liku zwierzyny. Bronisza wyznaczono łowczym grupy gościennej, wśród której znalazł się na własne żądanie i Ziemiowit mazowiecki, choć przysługiwało mu prawo dowodzenia własnym oddziałem, jako że przywiódł z sobą wraz z czeladzią do stachłopa. Książę wolał, jak mówił, pobawić się w towarzystwie tak sławnego rycerza, od którego wiele nauczyć się było można, a nie wstyd dać mu posłuch w razie potrzeby.

Zadanie Bronisza było zaszczytne, ale nie łatwe. Jego oddział, ruszając ławą od Obrzy na północ w dniu oznaczonym, miał rozpocząć łowy. Skład myśliwych, ludzi możnych, dobrze zaopatrzonych, na doborowych koniach, stwarzał wiele możliwości pomyślnych, ale i mógł nastęrczać trudności w razie potrzeby zespołowego działania. Zależało to od powagi i postępowania wodza, czy goście poddani mu dobrowolnie zecheą go słuchać i wysiłać się na jego rozkaz. Przed samym wyjazdem z Poznania Bolesław darował Broniszowi, jako zadatek przyszłych łask, trzy konie do wyboru, z własnej stajni. Jarl wybrał rumaki wedle potrzeb przewidywanych na dworski pokaz i hodowlę: jednego dla siebie, a dwa pozostałe dla Helgi i Oniewomira i odesłał je zaraz do Lipia. Na użytek łowów nabył z dawną znajomemu sobie wilezura ze stajni koniuszego Dolegi, płacąc zań pół funta srebra. Koń nie wyglądał zbyt wspaniale, kosmaty był, kępny a mocny jak tur. Nie bał się dzikiego zwierza, gdyż sam umiał, w razie potrzeby, ścigać, gryźć i wierzgać, jak należało. Mając takie zalety miał i wadę, że nazbyt przebiegłym będąc, był jakiego jeźdźca nie nosił długo na grzbiecie.

(ciąg dalszy nastąpi)

# Praca i działalność Polskiego Związku Zachodniego

**Manifestacja pod hasłem:**

## „Bydgoszcz domaga się sądu nad Forsterem“



Do zebranych tłumów przemawia ob. Dereziński, wiceprezes Okr. PZZ.

Z inicjatywy PZZ odbyła się w dniu 19. 8. br., imponująca manifestacja pod hasłem „Bydgoszcz domaga się sądu nad Forsterem” na Starym Rynku — w miejscu straceń licznych obywateli bydgoskich w czasie tzw. „Krwawej Niedzieli”. Manifestacja ta zgromadziła przeszło 15 tys. mieszkańców Bydgoszczy, którzy przybyli z transparentami. Najliczniej stawili się robotnicy. Zgromadzenie zagał przewodniczący MRN ob. Rutkowski, po czym porwijące przemówienie wygłosił przedstawiciel PZZ ob. Mieczysław Krawczewski.

„Jeżeli Poznań doznał tej satysfakcji, że sądzono i stracono Greisera tam, gdzie dokonał najohydniejszych czynów, to też i Bydgoszcz i jej całe społeczeństwo domaga się, aby Forstera sprowadzono do Bydgoszczy, aby go skazano i stracono na miejscu, gdzie dopuścił się najohydniejszych zbrodni. Niech społeczeństwo bydgoskie otrzyma dla siebie bezpośrednio zadośćuczynienie za niewinną krew swych najlepszych obywateli” — zakończył przemówienie ob. Krawczewski. Przemówienie jego przerywane było częstymi okrzykami zebranych tłumów, domagających się wydania Forstera i sądzenia go w Bydgoszczy.

Po kolejnym przemówieniu ob. Derezińskiego, przedstawiciela OKZZ i wiceprezesa Okręgu Polskiego Związku Zachodniego w Bydgoszczy ob. Gastecki, sekr. Związku b. Więźniów Politycznych odczytał rezolucję, którą podajemy w pełnym brzmieniu:

„Kat Pomorza znajduje się na ziemi polskiej, znajduje się w Warszawie. Zapaść ma decyzja, gdzie ma być sądzony. My mieszkańcy Bydgoszczy, powołując się na niezliczone zbrodnie dokonane przez Forstera na społeczeństwie bydgoskim, domagamy się sprowadzenia zbrodniarza hitlerowskiego do naszego miasta i sądzenia go w murach naszego grodu. Bydgoszcz w ciągu swego istnienia do-

znała ogromnych krzywd od Niemców, ale to, co uczynił Forster, przewyższało wszystko, co było dotychczas.

Dywersonja niemiecka w pierwszych dniach wojny w zdradziecki sposób napadła na tyły cofających się wojsk polskich. Mieszkańcy w obronie koniecznej chwycili za broń. Niemcy po zajęciu miasta zarządzili krwawy odwet. Było to dziełem Forstera.

Bezustanne łapanki, egzekucje, przepełnione obozy koncentracyjne,

śmierć i męki niezliczonych naszych braci, żałoba w każdym polskim domu na Pomorzu — to dzieło Forstera.

Jak długo Pomorze Pomorzem, nie spłynęło ono do tego stopnia krwią, co za czasów rządów krwawego „gauleitera”. Całe Pomorze doznało ze strony Forstera nie dających się naprawić krzywd. Bydgoszcz miała nieszczęście przodować w poniesionych stratach. Krew naszych braci niepomszczona woła o sprawiedliwość. Forster musi być sądzony w Bydgoszczy!”

## Wielki Kongres Polaków-Autochtonów

Szczecin. W dniu 16 sierpnia br. odbyło się w Szczecinie z udziałem sekretarza Generalnego Zarządu Głównego PZZ dyr. Cz. Pilichowskiego, posiedzenie Zarządu Okręgowego PZZ, połączone ze zjazdem delegatów z terenu całego woj. Zachodnio-Pomorskiego. W obradach wzięli udział przedstawiciele władz państwowych i miejskich, prasa i delegaci.

Obrady zagał kierownik Okręgu Michał Kmiecik, a kierował obradami wiceprezes Zarządu Okręgowego mec. Powidzki.

Jako pierwszy punkt obrad omawiano kwestię weryfikacji ludności autochtonicznej, zagadnienia osadni-

## Pogrzeb działacza PZZ

Strzelno. Dnia 6. VII. rb. odbył się w Strzelnie pogrzeb ob. Namieśnika, znanego działacza społecznego, cieszącego się zaufaniem całego społeczeństwa. Wymieniony był sekretarzem Koła P. Z. Z. w Strzelnie. Wielka ilość wieńców i kwiatów, jak również liczne delegacje — m. in. delegacja Okręgu P. Z. Z. z Poznania — świadczyły wymownie o wielkim przywiązaniu społeczeństwa do śp. Namieśnika.

## Ratujmy dzieci wywiezione przez Niemców

Gdańsk. Polski Związek Zachodni na Wybrzeżu wystosował apel do społeczeństwa. W apelu czytamy m. in.: „Niemcy w okresie sześciolletniej okupacji wywieźli w głąb Rzeszy wiele polskich dzieci, by tam poddać je wychowaniu narodowo-socjalistycznemu i zmienić w ten sposób na młodych Niemców. Dzieci te albo oddano do niemieckich zakładów wychowawczych, albo też rozmieszczono u bezdielnych rodzin niemieckich.

Z różnych przyczyn dzieci te, pozostające dotąd w Niemczech, nie doznały jeszcze należytej opieki. Dlatego musimy uczynić wszystko, by spowodować powrót do kraju wszystkich polskich dzieci, które zostały przemocą wywiezione z Ojczyzny. Wszyscy, którzy mogą udzielić jakichkolwiek informacji o dzieciach wywiezionych do Niemiec, proszeni są o zgłaszanie się w placówkach PZZ.

LEON SOBOCINSKI

## Ziemia Mazurska za drutami

Ze wspomnień i notatek dziennikarza

Ciekawy tu kraj i ciekawi ludzie. Na sensacyjną fabułę powieściową wygląda na przykład następująca historia:

Młody Winkler, syn pruskiego żandarma w Łuczanie, jako 18-letni student w Berlinie, po śmierci rodziców dowiaduje się od siostry, że jak z papierów pośmiertnych ojca wynika, Winklerzy wywodzą się z Polaków i mają całkiem inne nazwisko a mianowicie — nazywają się Kętrzyńscy.

Młody Winkler od tej chwili nie zaznał spokoju. Zabiera się z zapałem do nauki języka polskiego, gdyż języka tego nie znał zupełnie i z Winklera staje się Kętrzyńskim. Zasłynął potem w nauce polskiej jako Wojciech Kętrzyński, który

zostawił nam bezcenne prace historyczne, między innymi dotyczące spraw wschodnio-pruskich.

A ilu takich Winklerów, w których jeszcze nie odezwał się głos krwi polskiej? Tysiące, tysiące.

Dowodów polskości ziemi mazurskiej nie mogliśmy przeprowadzić podczas plebiscytu. Powody tego są zbyt znane, ażebym się tu rozwodził. Na ten stan rzeczy wpłynął zarówno terror niemiecki jak i karygodne zaniedbania z naszej strony.

Mazurów, sympatyzujących z polskością, okrzyczano jako zdrajców. Nazwiska tych, którzy należeli do Polskiej Rady Ludowej, wywieszano w oknach wystawowych na publiczne pośmiewisko. Dzień i

nocą nie dawano działaczom polskim spokoju. A Polska Rada Ludowa musiała urzędować za ogrodzeniem z drutów kolczastych, strzeżona przez posterunek wojskowy wojsk koalicyjnych. Włosi z reguły stali zawsze po stronie niemieckiej i nie chcieli nawet interweniować, gdy bandy hakatyście napadały na Polaków i urządziły pogromy...

W sam dzień plebiscytu wśród wycia pijanej tłuszczy, oprowadzono po ulicach miast mazurskich ostów z uwiązaniem przy szyi, albo na ognie, napisem, że tylko taki głosuje za Polską. Wielu działaczy plebiscytowych przypłaciło życiem. Aktorów polskich, którzy przyjechali z żywym słowem polskim, pobito nieludzko. Znanego działacza warmijsko-mazurskiego ks. Osińskiego wezwano nocą podstępnie do chorego, i pobito go do utraty przytomności.

Nie sposób spać tyłu, tyłu krzywd, doznanych przez ludność

mazurską. Rejestr taki nie mieści się w ramach zwykłej publikacji. Nie spałaby tego, jak to się mówi, na wolowej skórce.

Po powrocie z Prus Wschodnich, zgłosiłem w pomorskim wywiadzie polityczno-wojskowym gotowość złożenia szczegółowego sprawozdania ze swych spostrzeżeń partych materiałami, dostarczonymi mi przez owego sympatycznego sekretarza Związku Polaków.

Odprawiono mnie z uprzejmym kwitkiem: „Wiemy, wiemy o tem dobrze”. Nie okazano najmniejszego zainteresowania moją ofertą i to ofertą bezinteresowną. W niezależnej prasie pisać, rzecz zrozumiała, nie mogłem. Tak zresztą niezależnej prasy w Polsce nie było.

Dziś, gdy się przypadkiem dowiedziałem, że jeden z wyższych funkcjonariuszy pomorskiego wywiadu wojskowo-politycznego został w czasie okupacji unieszkodliwiony w Warszawie przez egzekutywę bojową Polski podziemnej,

stacjach cukrzycy, schorzeniach wątroby, nadkwasocie żołądka i innych.

Prócz kuracji źródłanej w skład urządzeń leczniczych wchodzi zakład przyrodolecznicy (z wzięwalniami, urządzeniami pneumatycznymi, łożenkami, elektroterapią, kabinami do



plukania gardła i nosa i laboratorium) oraz wzięwalnia z kabinami pojedynczymi i salami do wzięwań zbiorowych.

W łożenkach wydaje się ponadto kąpiele sztuczne kwasowo-węglowe i tenowe oraz głębokie plukanie jelit aparatem Brocha.

W parku zdrojowym odbywają się dwa razy dziennie koncerty orkiestry zdrojowej. (St. K.)



Sieć organizacyjna P.Z.Z. na Dolnym Śląsku

**Każdy Urząd Pocztowy w Polsce**

przyjmuje prenumeratę

**Polski Zachodniej**

Prenumerata miesięczna 25 zł — kwartalna 75,— zł

nie dziwie się tej niechęci, z jaką mnie przyjęto.

Czarne lata udręki i męczarni już spłynęły... Nastął dzień odkupienia, nastało wielkie Alleluja ziemi mazurskiej.

Druty i zasieki, którymi ziemia mazurska była od swej Macierzy odgródzona, potamał i potargał żołnierz polski w ścisłym przymierzu z żołnierzem Armii Czerwonej.

I ziściły się cierpliwe słowa, wypowiedziane przez Jana Kazimierza do delegacji Stanów Pruskich, proszących go o pomoc w walce z Krzyżactwem: „Własność ta moja nie jest moja, ale będzie moja”.

I jest już nasz!

I będzie nasza po wszystkie czasy polskich dziejów.

Na mazurskie Alleluja bija dzwony...

Koniec.

Warszawa, dnia 8 sierpnia 1945 r.